

KUZNICA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok 2

Łódź, 10 czerwca 1946 r.

nr 22 (40)

KAZIMIERZ BRANDYS

Na wrocławski zjazd

— Tylko miłość do tej ziemi trzyma mnie tutaj i nie pozwala uciec — rzekł mi pół roku temu w mieście N. król dolnośląskich szabrowników, inżynier Z., pokazując swe utrudzone dłonie, którymi przydzwigał trzy elektryczne frigidary, siedem perskich dywanów, nowoczesną ośmiolampówkę z telefonem, zapas win reńskich i szampańskich, cztery miśnieńskie serwisy, — aby złożyć to serdecznie zapracowane dobro pod dachem swej willi z trzema tarasami, którą zabezpieczył dla siebie, jako prezes tamtejszej komisji mieszkaniowej.

Myślałem wówczas: „człowiek nieszczerzy” i potraktowałem go z minimalną uprzejmością, widząc w nim nie objaw niebezpieczeństwa o charakterze ogólnym, lecz tylko jednostkę zachwianą moralnie. Były piękne dni tej jesieni, liście czerwieniły się w szpalerach, przyjechaliśmy tam, literaci śląscy i krakowscy, z sercem pełnym zapału dla odzyskanej ziemi i jej pionierów, z których jednym, a nawet jak mówiono wybitnym, był inżynier Z.

Nie pamiętam, czy już wówczas weszło w modę określenie: „dziki zachód”, używane potem tak chętnie, ale nie sądzę, abyśmy wyruszyli tam w owych dniach w nastroju żartobliwym. Miała to być niejako pierwsza ekspedycja badawcza polskiej literatury w teren dawno Polsce wydarty i przywrócony w okresie najburzliwszym, jaki znała nie tylko Polska, ale i świat; w teren nasiąkły obcym i wrogim nam wpływem, przeorany w ciągu sześciuset lat tym samym żelazem, które spadło na nas w pierwszym wrześnie wojennym. Powiadano nam: „ziemia pełna sprzeczności, trudów i bolączek, obszar problemów nieomal egzotycznych przez zawity spłot wydarzeń, ziemia uciemiężona, teren kultury peryferyjnej”; — jechaliśmy tam, aby zobaczyć dzieło sześciu miesięcy polskości po sześciu wiekach niemieczyny. Mijało bowiem pół roku pokoju.

Na Górze Św. Anny, w miejscu bohaterkich bojów powstańców śląskich, Niemcy wykuli w skale amfiteatralne mauzoleum, gdzie odbywały się do niedawna brunatne Parteitag. Ekspedycja literacka znalazła się tam pewnego przedpołudnia i górnik z Virtuti Militari na piersi opowiadał dzieje bitwy, w której brał udział. Na horyzoncie snuły się dymy z hut, ale niebo było nad nami błękitne. W jakimś momencie usłyszałem potężny szepot, który niewiadomo skąd wdarł mi się do ucha, jak głos zagasłej przeszłości: „Nieźla, bracie, ta ziemia odzyskana, co?” Pomyślałem, że to szepce historia ale był to tylko głos kolegi F., który stał o dwieście metrów i z dołu próbował akustyki monumentu. Amfiteatralna budowa mauzoleum obfituje bowiem w podobne efekty.

Istotnie, owa ziemia posiada swój urok i niejednemu z nas, sądzę, odczuł go wówczas żywo. W drodze do Nysy pokazywałem młodej dziewczynie — poetce, która jechała z nami, falisty pejzaż, za który chowało się słońce. Ale ona słuchała bez zapału, licząc obszary uprawionej roli, kominy, z których snuł się dym, i domostwa, gdzie był ludzki ślad. Pochodziła z tych stron i zrozumiałem wtedy, co dla niej było proste, że poezje tej ziemi stanowi wydajność.

Stała mi więc w oczach kształt pierwszej sprzeczności, jaką sam zdołałem dostrzec w czasie tak niedługiej podróży. Otarłem się blisko o rąbek tego, co nazywa się zwykłym dramatem: inżynier Z., powstaniec z Góry Św. Anny i pola leżące odległym, na których nie łatwo było wówczas ująć człowieka, konia lub plug.

Kim był inżynier Z.? Nie zajmowałbym się nim tak dokładnie, gdyby nie to, że człowiek ten w perspektywie późniejszych rozmyślań i spostrzeżeń urosł w moich oczach do rozmiaru symbolu i interesował mnie równie mocno, jak zapewne żywy okaz szarańczy ciekawaby rolnika nawiedzonego tą klęską.

Inżynier Z. był przed wojną poznańskim działaczem ozonowym i tamtejszym przywódcą akcji antysemitkiej w czasach bojkotu, hec pałkarskich, ubojowych i t.p. W czasie okupacji zajmował się walką o prywatny byt, za pomocą dostaw łóżek szpitalnych dla Wehrmachtu i — żony, która poczuła w sobie nagie obudzoną przynależność do narodu niemieckiego. Obecnie inżynier wrz z żoną i rodziną mieszka w mieście N. czy S., gdzie trzyma go tylko miłość do uciemiężonej ziemi oraz willa z trzema tarasami, porcelaną, radiem, winem i t.p.

Co myśli inżynier Z.? Inżynier należy do ludzi niezadowolonych. Niezadowolonych z reformy rolnej i przemysłowej, z przyjaźni polsko-radzieckiej, z Krajowej Rady Narodowej, z ZWM-u i KCZZ-tu, z Alei Armii Czerwonej i aprowizacji. Poznałem go w październiku ubiegłego roku. Prorokował wówczas wybuch wojny na kwiecień roku bieżącego i twierdził, że polski orzeł powinien podnieść swój dziób i szpony na wschód. Zapewne więc w chwili obecnej inżynier jest dodatkowo niezadowolony, że wojna w kwietniu nie wybuchła i że orzeł nie podniósł szponów na wschód.

W tym samym mieście kursują już fiakry. Jechałem pewnego dnia jednym z nich i dorożkarz zacięknął mnie swym wyglądem, a zwłaszcza jakimś sennym błękitem w oku, który wydał mi się znajomy. Zacząłem pytać o dorożkę: czy własna, jak długo jeździ, że dobrze utrzymana, czy nowa. Nie, nie nowa, sprzed wojny, jeździ, owszem, dobrze. Wymijał moje pytania i siedząc bokiem kołysał batem, aż wreszcie odwrócił się do mnie: — „Z Wilna ona jest”, — rzekł uroczysto; poczem zaciął konia. Dorożka wędrowała z Wilna trzy tygodnie wraz z koniem i właścicielem. Koń trzy tygodnie stał w wagonie, nie chcąc się położyć z przyczyn nerwowych i dodatkowo stał jeszcze tydzień w stajni na miejscu przeznaczenia, póki nie wrócił do równowagi. Dorożkarz opowiadał to śpiewnym akcentem i wyznał mi, że dotąd sypia na słomie, mając za jedyny mebel skrzynię po niemieckim piwie. „Mała przyjemność, panie”, zakończył. Był człowiekiem smartwionym. Zmartwionym z powodu przeszkód gospodarczych na które napotykał w pracy.

Nie wszystkie transporty repatriantów dochodziły wówczas do miejsca przeznaczenia równie szybko. W Strzelcach, na bocznym torze stał od czterech tygodni pociąg z ludnością przesiedloną z Wołynia. Transport ten zatrzymała groźna w Polsce siła — niewiadoma, tajna, ukryta: siła dezorganizacji. Gdzieś zatrzymało się jakieś kółko w obrocie, zahamowane przez czyjś tępy łeb albo niechlujstwo, urzędnik starostwa czy funkcjonariusz ruchu zapomniał, nie chciał, albo chciał na złość, transport stał pod skwarem i deszczem, ludzie wychodzili na miasto kraść — a tuż obok rozkładała się ziemia porośnięta zielskiem, czekająca ludzkich rąk, których tak brakło w tych stronach. I znów dziwił się inżynier Z. i dorożkarz z Wilna, inżynier Z. i chłopci z Wołynia, ziemia nieuprawiona i setki niezatrudnionych rąk, dobra wola ludzka i zła wola ludzka, brak pomocy dla pierwszej, wieczna zaradność drugiej.

Mówiono nam wówczas o sprzecznościach dalszych, nie tak łatwo widzialnych przy pierwszym zetknięciu. Powstał tam problem psychologiczny, skutek owej egzotyki sytuacji, o której tyle opowiadano: problem nieufności. Ślązak widział w repatriancie Ukraińca, uważał go za element obcy, „nasłany”, i odwrotnie: chłop zza Bugu uważał język Polaka z nad Nysy za niemieckie w nim samym podejrzliwość Niemca, nie ufał. Dochodziły nas głosy pełne obaw: czy współzycie okaże się możliwe? Jakiej perswazji użyć, jakie zastosować środki, aby zapobiec utworze-

niu się na ziemi najcenniejszej dla kraju dwóch polskich społeczności, przedzielnym wzajemną niechęcią. Było to zagadnienie, które każdy odczuwał tam jako troskę — wojewoda, biskup i działacz ludowy poruszyli je w swych przemówieniach, a znajomy literat śląski zwierzył się, że pisać o nim powieść.

Sprawy nie były tam proste, nawet my, nieprzywykli patrzeć na konflikty między ludzkie, na namiętności i nadużycia jednostek, jako na problemy zarządu obszarem — nawet my musieliśmy to odczuć. Psychologia i gospodarka, dobra wiara i przemysł, akcent, strój, obyczaj, uprawa roli i stan łożysk kulkowych — były to na tej ziemi zagadnienia niemal równoważne. Nigdzie indziej wzajemne powiązanie losów ludzkich nie występowało tak jaskrawo jak tam, gdzie niedoła nowego przybywa była prosta konsekwencją bezmyślności referenta w starostwie, gdzie chłop z Wilna nie miał na czym głowy złożyć, bo inżynier Z. urządził się zbyt komfortowo, gdzie wreszcie dobro człowieka tak wyraźnie stawało się zawisłe od dobra całości.

Nie ludez się, że można wyczerpać na podstawie obserwacji tak pobieżnych i przypadkowych ogół zagadnień, które przeciwieństw związanych z odbudową życia na odzyskanych ziemiach. Był ich niewątpliwie więcej i nie wszystkie zapewne zostały rozstrzygnięte po dzień dzisiejszy. Większość ich ma charakter procesów, których korzenie tkwią w błękitnej lub odległej przeszłości, wiele wynikało z zamętu i zniszczeń wojny, wiele również wiąże się w swym początku z tym, co nazywamy „psychologią polską”, a co tak jest owocem długotrwałego stawiania się w czasie. Rozwiązanie tych problemów może dokonać się więc tylko w postaci procesów — procesów regulowanych świadomości, którymi zasięg nieraz przekroczy granice tych ziem.

Dlatego też mimo, że Śląsk przewyższył dziś swą przedwojenną normę produkcji węgla, mimo, że porty polskie coraz sprawniej ułatwiają przelot eksportowych towarów, że procent ziemi uprawnej jest nierównie większy niż jesienią — byłoby błędem mniemać, iż w ciągu zimy zażegnano po czarodziejsku wszystko, co w jesieni piętrzyło tyle trudności. Fakt, że produkcja istnieje i wzrasta należy uznać za objaw żywotności tych ziem, czy skutek wysiłku ludzi dobrej woli — ale problem trwa, dzieje się, trudności nie znikły. Problem trwa nadal, ukazując swe najszersze aspekty, nie tylko wewnętrzne, odsłaniając w całej rozciągłości ogrom szans i obowiązków, jakie z odzyskania tych ziem wynikają dla narodu, który nie po raz pierwszy w dziejach stwierdza swe zaległości cywilizacyjne, który dziś, jak nigdy przedtem, upewnia się w przekonaniu, że jego klęski polityczne dawne i ostatnie, miały źródło w zapóźnieniach społeczno-gospodarczych. Czujność w kształtowaniu życia na ziemiach zachodnich może rozstrzygnąć o rozwoju nie tylko tych ziem, lecz również o przyszłości Polski; czyni — w dziś wybór typu gospodarki, a więc typu kultury i losów politycznych. Drogi na Wrocław i Szczecin otwierają przestrzenie wydarte nam sześć wieków temu i tracone potem wielokrotnie — przestrzenie rozwojów, nie tylko terytorialne.

Kapitał ludzki bywa trudniejszy do określenia, niż zasoby rzeczowe. Znamy bogactwo techniczne i naturalne ziem odzyskanych, ale nowy element, który tam napłynął, jest wartością niełatwą do zakwalifikowania. Można stwierdzić z pewnością, iż ludność Śląska da z siebie maksimum wysiłku, poświęcenia i lojalności, jak dawała już nieraz; można wierzyć również, że masa repatriantska stanie się

Daremnie szlachta polska usiłuje przekonać ludy, że tchnie duchem wolności, że żąda równej niepodległości, kiedy od wieków zaprowadzonego systemu nawet nie myślała zmienić.

Kazimierz Deczyński

z czasem czynnikiem wydajnym w produkcji tych ziem; ale to nie wszystko. Cóż pozostaje?

Pozostaje inżynier Z. i kadry inteligencji. Męły szukające zysku lub ochrony przed prawem oraz inteligent na podrobie humanistycznej, który albo posiada wiedzę fachową bez oparcia o świadomy światopogląd, albo nie posiada jej wcale.

Wydaje się, że inżynier Z. stanowi mniejsze niebezpieczeństwo dla przyszłości tych ziem, niż przedstawiciel drugiego gatunku. Rodzaj zerowania i obchodzenia prawa, który praktykuje przeciętny szabrownik, „opozycjonista”, lub „prześladowany” — jest obławem przemijającym, związanym z okresem nieuniknionego fermentu po wstrząsie społecznym i politycznym; proceder ten zostanie z czasem starty w obrotach rzeczywistych czynności wytwórczych, starty na pył, bez śladu; — regulacja życia gospodarczego obnaża wszystko, co jest w nim nieużyteczne.

Przodownikiem kulturalnym jest na tej ziemi, niestety, człowiek z ziemi obcej — warszawiak, kresowiak, nie Ślązak. Śląsk nie był w mocy wytworzyć dość licznych kadr inteligencji, aby powierzyć im czuwanie nad odbudową życia i kierownictwo społeczne ziem odzyskanych. Ślązak — to słowo ma swoje znaczenie w pojęciu każdego z nas. Rozumiemy przez to ludzi, dla których świat cywilizacji technicznej jest światem zastanym i oczywistym, którzy myślą kategoriami produkcji i obracają się w kręgu dóbr wytwarzających i wytworzonych równie swobodnie, jak przeciętny magister praw w kręgu podejrzanych abstrakcji i mitów. Taki stosunek do rzeczywistości nad Odrą i Nysą jest dziś jedynie właściwy i wszelkie rachuby poza rachubą wysiłku i pracy nie mogą być tam pożyteczne. Na ziemi tej nie dość jest Ślązaków, — Ślązaków w sensie dosłownym lub przenośnym. Jedną z istotnych cech cywilizacji zachodnich mieści się w szacunku dla materii, w kulturze przedmiotów, co ma zapewne źródło w trzęsawicy tradycji merkantylnej, dziedziczonej od setek lat; rozsądna ocena znaczenia, jakie przedstawia produkcja dla narodu i jednostki, nie łatwo staje się udziałem społeczeństw o przeszłości agrarnej, i jeśli dyrektor B., kierownik zakładów w mieście G. na Śląsku, wolał ze mną mówić o swych koncepcjach stworzenia nowej wspólnej religii narodów słowiańskich, niż o cyfrach produkcji swej placówki, — nie popełnił błędu, skoro uznał to za skutek spóźnienia industrializacji w Rzeczypospolitej Polskiej.

Poczucie uczestnictwa w pracy produkcyjnej; musi stać się cechą świadomości nowoczesnego Polaka, a wynikające z tego obowiązki muszą wejść w skład jego sumienia. Nie mam pewności, czy wszyscy ludzie czystego sumienia, pracujący na ziemiach odzyskanych, posiadają tę świadomość, i nie wiem, ile się czyni, aby wykształcić ją w umysłach młodego pokolenia. Nie wygramy walki o przyszłość ziem odzyskanych, ziemi te nie rozstrzygną wielkiej gry o los Polski — jeśli nie zdoła się wychować przodowniczych kadr zdala od mitów, w świecie realnych pojęć o pracy i twórczości.

Wrocław liczy obecnie 75 tys. Polaków, w tym 22,240 członków związków zawodowych. Czynnych jest tu 50 zakładów przemysłu, głównie metalowego i chemicznego, ponad 1,000 drobnych zakładów przemysłowych prywatnych oraz przeszło 2,000 zakładów handlowych. W mieście znajduje się 12 szpitali, 30 szkół niższych i średnich, uniwersytet, politechnika, 10 bibliotek, 39 świetlic, 2 teatry.

Od czasu pierwszej wycieczki literackiej w te strony upłynęło pół roku. We Wrocławiu ma się odbyć zjazd kultury polskiej. Fakt, że uczeni i pisarze ozna-

ZYGUNT MYŚLAKOWSKI

Zbudować nowoczesne państwo

I.

Bardzo trudno jest zbudować nowoczesne państwo a jeszcze trudniej zbudować je w niesprzyjających warunkach i przy pomocy ludzi, tkwiących korzeniami w dawności i rutynie. A jednak to właśnie musi być zrobione.

Przesłanki gospodarcze i techniczne przeobrażeń ustrojowych mogą istnieć od dawna, lecz sens ich nie musi być w porę i przez wszystkich jednocześnie odczytany. Raczej przeciwnie: uświadomienie kierunku narastających zmian jest przywilejem nielicznych. Świat bowiem usypiający może jeszcze dawać złudzenie polegi, gdy rzeczywistość nadchodząca kroczy cichym krokiem.

Nieliczni tworzą zaczyn przeobrażeń świadomości politycznych. Idą oni w pierwszym szeregu, jako pionierzy.

Maruderzy idą także, ale idą w ostatnim szeregu; niezdecydowani, ociągający się, czują się raczej w położeniu wleczoonych przez prąd, niż panujących nad nim. Ich udziałem jest godzenie się z faktami dokonanymi bez ich współudziału lub — wyżywianie się w bezpłodnym proteście.

II.

Ludzie konwencjonalni boją się odruchowo każdej zmiany. Wytwarzają oni w swej konstrukcji życiowej szereg urządzeń zabezpieczających i czują się w tym opancerzeniu pewni. Każda zmiana wywołuje potrzebę nowych przystosowań, nowego wysiłku wyobraźni, narusza układ nawyków, nabytych przeświadczeń, zorganizowanych pojęć o rzeczywistości. Naruszenie tego układu wywołuje u ludzi konwencjonalnych poczucie, jakby ziemia trzęsła im się pod nogami. Jest to dla nich sprawa tak ważka, że usiłują podświadomie odsunąć ją od siebie, nie tylko oceniając to, co jest jako najlepsze, ale i osądzając jako jedynie konieczne. Bieg planet i pojawianie się o tej samej godzinie talerza z zupą mają w ich oczach t. samą niemal konieczność. Świat ich drobnych przyzwyczajęń wydaje im się najlepszym, najracjonalniejszym. To, co narusza ich system przeświadczeń o rzeczywistości, jest albo nierozumem i szaleństwem albo czymś z gruntu złym. Tak jeszcze o jedno pokolenie wstecz ludzie „dobrze myślący” (nie koniecznie sami kapitaliści) wyobrażali sobie socjalizm. Tak jeszcze za okupacji afisz propagandy hitlerowskiej przedstawiał komunistę jako demona zniszczenia, wyciągającego szpony po zgębną i złość, gdy w rzeczywistości chodził tu po prostu o typ gospodarki bardziej planowej i o typ kultury bardziej uspołecznionej. Tak niegdyś ludzie religijni patrzyli na „kacerza” nie zdając sobie sprawy, że ten sam heroizm i patos religijny ożywia kacerza co i świętego i że od stosu do kanonizacji był niekiedy tylko jeden krok. Ludzie konwencjonalni nie mają samostnej duchowej egzystencji, są niewolnikami gotowych form.

III.

Długotrwałe, niszczące wojny, zamieszki i rewolucje mają nie tylko sens negatywny, burzący. Przyspieszają one narastające świeże procesy społeczne, wyzwalają ogromne, dalskosiężne widoki. Nieosiągalne stają się osiągalnymi i kształtów realnych zdaje się nabierać niejedno, przed czym ludzie konwencjonalnych cofali strach śmieśności. Don Kichot jest

(Dalszy ciąg ze str. 1-szej)

czyli dziś swój punkt zbiorny w tej okolicy kraju, ma wymowę zbyt jasną, aby trzeba ją było podkreślać komentarzem. Wiermy, że sześćset lat temu książęta śląscy używali tytułu „duces Poloniae”. W katedrze opolskiej do dziś można oglądać piastowskie orły na sarkofagach, zatarte obcą ręką. Nie od rzeczy będzie jednak wspomnieć datę nieco świeższą, a bardzo w dniach zjazdu pisarzy i uczonych polskich w stolicy Śląska znaną: oto jeszcze w r. 1928 książka polska na Śląsku rozchodziła się w przeciętnym nakładzie 34 tys., aby do roku 1939 ograniczyć ów nakład do 2 tys. Co się działo przez tych lat dziesięć i jakie tego trwały skutki — rzecz wyobraźni piarskiej. Ale liczby te wiele mówią o roli, jaką polska literatura i nauka świadome swych zadań mogą odegrać na ziemiach odzyskanych.

Zdajemy sobie sprawę, że przesunięcie na zachód granic Rzeczypospolitej dało nam do rąk kartę. Nazywa się to zwykle kartą dziełową lub szansą historyczną; poprzestałmy tym razem na nazwie: próba rozsądku. Próba rozsądku po tylu próbach odwagi i honoru.

Kazimierz Brandys

JULIA HARTWIG

Elegia imaginacyjna nad grobem wielkiego muzyka

Ze nie rozmawiają ze sobą marmury na grobowcach i granity melodyjna kropka wystukuje wciąż taki.

Czy ty też robaku z drzewnej kory

chciałbyś zejść w pustkę trawy, w wilgotny mech?

Cl, których co dzień wiatry nie odsłaniają twarzy,

z ich rozmów pośpiesznych i gwałtownych nie rodzi się żaden fakt —

Pobrzękuje na wietrze żelazna blacha z nazwiskiem.

Gdybyś nagle spadł pośród nas jak słup światła gwałtowny

Przy takim zmarłychwstaniu może jak jasne odpryski

skończyłyby się w przestrzeni dalsi a bardziej błyszczący.

Tak wyprowadza mnie z dymu zaduma.

Ku tobie kręła splaya ścieżka wiosennych ukropów

przegląda się w płycie grobowca oblok tak czysty.

Nie wyjdiesz by wielkim smykem

od złej odciąć dobrą muzykę.

Źródło

Z pienistych wodospadów snu
zniesiona w tej strumienia
cienkim polyskiem żagla łódź
wśród wód niech szuka wód istnienia.

Rozlew zależał, wklesły szlak
szlamowych jezior — z dala huk
wierconych artystycznych studni
na horyzoncie biały grzmot
fontann; lecz gdzie jest źródło to,
wśród wszystkich źródeł w mehu ukrytych,

którym się winny sili sok
na stokach winnic, gdzie jest to
którym nabrzmiałe zwaly chimur
wskrzyszają barw pochwałę — łczę.
Źródło co w sobie skupia moe
wszystkich na świecie wodopojów
pożywnie w sarku, sól i jod
w którym jest ulga wszystkich bólów.

Zbudź się. Już grząski wstaje dzień
i czas odchodzi po wskazówkach.
W nowej krajnie żywnych wód
połoją ścieżek spadają z wężor,
turkoczą młyn samochodów
na wodospadach szybkich szos.
I ty już powstań, Strumień nóg
niech żłobi w wartkim prądzie rzeń.
Któż zna tajemne źródło co trwa
w bezruchu. Skryte.

Reportaż wiosenny

Srebrny młot kół unosi wóz nad drogą
z wyżyn światła w doliny cienia.
Ku nim rzucają się drzewa z pośpiechem,
Gwizdzą woźnica świeżo ogolony
zaczyna kontę, aż hał luźny
jak wędka nad karkiem zwierzchnia się kołysze
Bulgotuje mleko w bańkach
a wielkie jaja obłoków
już nie skorpiona samolotów ulegną
ale bociani lot.

Śmiało w górę spogląda dziewczyna
i ociera wierzchem dionizola
złóżone od zbytowego pośpiechu słońca.
Już żółknąć poczęły gazety w ulicznych
kioskach,
usnął fragarz znużony pod ciężkim ślupem
blasku.

Jak hydrant pożarowy zanarmowały ulicę
samochody wiozące gazową wodę
i wesoły pies na mokrych nozdrzach
przyniósł klaki z poduszek i pierze zabłąkanych
nasion
Pięknie żłobią się rysy starej kwiaciarki, gdy
w nich cien zamieszka,
nad murem jak dokładnie głębokość drzew
się znaczy.
Ludzie syli, drzewa w czarnozemiu pewnie
by rosły inaczej
niż tu w chudym, powojennym mieście.
Ale nam to jeszcze wystarcza, świeżość dość
zanim lato upalne wyprowadzi z obór
asenzacyjne wozy.

nictwo nasze było tak prymitywne, rabunkowe i niedołężne, że stało jakby w przededniu olbrzymiego bankructwa. (Piśze o tym L. Jabłonowski w książce „Złote czasy i wywczas” oraz dr. Stanisław Morawski w zbiorze szkiców p. t. „Bracia szlachta”).

Ten anachroniczny agraryzm miał nie tylko gospodarczą, ale i kulturową stronę: ideały przeciętnego Polaka, nawet mieszkającego i pracującego w mieście wyrastały z tego duchowego podłoża. Według staropolskiego ideału Rzeczypospolita była sumą dworów i dworów ziemskich, tak licznych, aby każdy szlachcic taki dworek, choćby najskromniejszy, posiadał. Według poglądu demokratyczno-ludowego doby współczesnej ośrodkiem całego życia jest chat włościańska, a ideałem ustroju społecznego taki, w którym każdy niemal człowiek ma chatę swoją, a Polska jest zbiorem gospodarstw drobnych (por. S. Bukowiecki, „Polityka Polski niepodległej”).

Nie to było najgorsze, że istniały dwory i dwórki, ani że w zamierzeniu była reforma rolna, pomnażająca jeszcze ilość tych chat — lecz to, że mentalność człowieka w Polsce na wszystkich polach pracy kształtowała się również w sensie ideału agrarnego dworku i chaty. Poetycznie nazywało się to bliskością przyrody i Bogu, dystansem od zepsucia wielkomiejskiego. W istocie jednak ideały te są wyrazem świadomości rodowej, dalekiej od nowoczesnego wyrosłego z nowych stosunków produkcji państwa. Lekceważenie prymatu dobra publicznego, brak dyscypliny społecznej, słabe poczucie państwowości, brak nawyków i zamiłowania do zespołowych form życia i pracy, lekceważenie własnego i cudzego czasu, niedocenianie organizacji, przedstawianie na małym, nadkonsumpcja — oto, z grubsza te cechy, które się w toku historii w naszym typie społecznym wykrystalizowały. Zastrzegam się z góry, że nie mam tu na myśli jakichś trwałych właściwości rasowych. Pod tym względem nie jesteśmy ani lepsi ani gorsi, ulepieni z bardzo podobnej gliny, co nasi sąsiedzi z zachodu. Zespół cech ogólnie uznanych za polski charakter narodowy nie jest

prawdopodobnie niczym innym jak wyrazem długotrwałego działania czynników politycznych i ustrojowych. Raz stworzony wzór społeczny przekazuje się z jednej strony drogą naśladownictwa, z drugiej wychowania i urabiania pośredniego przez istniejącą tradycję kulturową. Dlatego też nawet jednostki pochodzenia chłopskiego lub obcokrajowego przystosowywały się łatwo do panującego wzoru społecznego. Takie wzory społeczne zakorzeniły się tradycyjnie rozbiła dopiero rewolucja lub jakaś wielka katastrofa polityczna (jak np. bitwa pod Białą Górą u Czechów). Trzeba głębszych reform i przegrupowań ludności ażeby wzór taki uległ zmianie. (Jest nadzieja, że obecna reforma rolna i szerszy dopływ młodzieży chłopsko-robotniczej do szkół wyższych i zawodów, które dotychczas były niemal monopolium dziedzicznej inteligencji, wywrze ten właśnie skutek).

Trzeba wytworzyć taką sytuację, by środowisko społeczne nie było miejscem zerowania dla egoizmów, lecz podłożem dla kształtowania się osobowości uspołecznionej. Niepokój, anarchia i rozrost egoizmów powstaje wśród niewłaściwych warunków obiektywnych (ustrojowych) a z drugiej strony przez brak wychowania do wspólnoty. Gdy ustrój jest nie dość planowo zbudowany, nie daje jednostce (każdej jednostce) dostatecznego poczucia zabezpieczenia; prawo własności pozwala na niczym nieograniczoną możliwość gromadzenia środków zabezpieczenia (w dzisiejszej postaci pieniądza finansowego) opartych na rabunku cudzej pracy (nawartości). Pęd życiowy jednostki cofa się w tych warunkach egocentrycznie ku sobie, zamiast rozwijać się w coraz dalszych kręgach uspołecznienia i osiągać przez to jedyną trwałą i wartościową postać radości, jaką może być dana człowiekowi.

Epoka Saska w dziejach naszej kultury nie minęła dotąd całkowicie; formalnie zamknięta, tkwi jeszcze w stylu naszej kultury, w zdominowanych wzorach społecznych, w zakamarkach naszej psychiki kolektywnej — i na tym terenie należy ją wreszcie zamknąć, jeżeli mamy zbudować nowoczesne państwo.

śmieszny tylko w czasach głębokiego załostu, obywatelskiej miernoty i wszelkich cnót ludzi małych. Kiedy nadciąga burza i w błyskawicach historii nowa rzeczywistość się rodzi, Don Kichot nie jest wcale śmieszny, bywa nawet groźny w oczach ludzi dobrze myślących, w oczach rozszerzonych przez strach. Śmieszni i pożałowania godni stają się wtedy ludzie konwencjonalni. Nastaje czas dla ludzi samotnych.

IV.

Zdarzenie z roku 1939, pięć lat okupacji, niewolnictwo, obozy, przesiedlenia, sam bliski kontakt z najeżdżącą pozbawionym wszelkich skrupułów, powinnym przeorać głęboko psychikę polską. Człowiek powinien zastąpić do dna samego siebie, dokonać rozrachunku z sobą i przeszłością w sobie — by wydobyć z podglebia nowe siły, wyjść silniejszym z przelomu, oczyścić dom z wszystkiego, co było słabością i małością. W obliczu zadań, które nas czekają, musimy stanąć zwarti i zacięci. Paść może naród wielki, ginąć tylko nikczemny.

Budować przyjdzie, budować wiele rzeczy na nowo i inaczej... Być nowym na miarę czasów, które idą — takie oto przykazanie można by rzucić tym, którzy zechcą być z żywymi w okresie budowania po potopie. Tak zwany „rozsądek” ludzi rozsądnych, dobrze myślących, konwencjonalnych, nie jest zaletą w czasach wielkich przeobrażeń, w czasach, które są pełne patosu historii. Społeczność, która nie umie zdobyć się w tych czasach na patos budowania w wielkim stylu, cofa się do rzędu maruderów historii. Ludzie rozsądni bowiem ratują wtedy przede wszystkim siebie i swoje prywatne sprawy; każdy sądzi, że ocali się w ten sposób na własną rękę. Tak upadła Rzeczpospolita w końcu XVIII wieku, wśród społeczność ludzi zatamizowanych, domatorskich, ratujących co się da z potopu. Dziś ludzie rozsądni zabiegają o zapasowe mieszkania, lepsze przydziały, o możliwości szabru. Działają w nich przede wszystkim instynktowne mechanizmy zabezpieczające. Nie oni wpływają na prąd zdarzeń, który ich unosi. Jest czas dla ludzi zdecydowanych, samotnych, uspołecznionych.

V.

Jeśli nie chcemy być jako naród tylko przedmiotem, lecz i podmiotem historii, musimy dokonać olbrzymiego zbiorowego wysiłku, naprawić wiekowe zaniedbania, zdobyć się na ambicję stanięcia w rzędzie społeczności przodujących. Trzeba to otwarcie powiedzieć: byliśmy społeczeństwem zacofanym gospodarczo; nie tylko przemysł ale i rolnictwo pracowało archaicznymi metodami; wydajność naszej gleby była parokrotnie niższa od norm zachodnich. Gospodarstwa nieskoordynowane, niezrzeszone w kooperatywy wytwórcze dawały produkt nie standaryzowany, przy eksporcie oceniany niską, niższą niż analogiczne wytwory duńskie, litewskie lub nawet ukraińskie. W dziedzinie prawodawstwa społecznego i opieki społecznej byliśmy również zapóźnieni; nie pomyślano o szeroko zakrojonej akcji wczasów pracowniczych, opieki nad dzieckiem, nad matką, w zakresie medycyny społecznej nie zrobiono prawie nic. Wiesz była pozostawiona samej sobie. Chłop i robotnik, podstawowe warstwy społeczne, pozostawali jakby poza nurtem życia narodowego. Ziemianstwo, obrażone projektami reformy rolnej i podatkami progresywnym, wycofało się samodzielnie i własnowolnie z tego nurtu. Aristokracja trzymała się odeń z dala, jak dawniej. Plutokracja w olbrzymim procencie obca. Miliony zarobione w przemyśle, w handlu drzewem, owocami i zbożem, czy szły całkowicie na nasze konstruktywne cele? Przeważnie odpływały do zagranicznych banków. Nie było autorytetu, który by sobie postawił zadanie: stworzyć szeroki program życia społecznego, obejmujący gospodarkę, kulturę i politykę społeczną w celu uproduktynienia wszystkich warstw. Musimy się stać jednolitym nowoczesnym narodem. Poza socjalizmem nikt nie ma dzisiaj takiego programu ani danych, by go wśród mas przeprowadzić.

VI.

W dobie gdy kraje zachodniej i środkowej Europy przeobrażały się coraz energiczniej w kierunku gospodarki kapitalistycznej, społeczeństwo polskie tkwiło dalej w agraryzmie, i to bardzo prymitywnym, w obliczu świata coraz bardziej anachronicznym. Wykładnikiem tego był prawie zupełny brak przyrostu ludności polskiej na olbrzymiej przestrzeni dwustu lat (XVII i XVIII wieki). W końcu XVIII i w pierwszej ćwierci XIX w. rol-

HENRYK EILE

Senat w konstytucjach polskich

Głosowanie ludowe ma zdecydować, czy przyszyły sejm, którego naczelnym zadaniem będzie uchwalenie nowej konstytucji, składać się ma z jednej, czy z dwóch izb. Ten sejm z kolei zdecydować o strukturze dalszych sejmów, t. zn. ustali w nowej konstytucji, czy sejm Rzeczypospolitej będzie jednoizbowym lub dwuizbowym. Zagadnienie, czy wola sejmów ma się wyrażać przez uchwały dwóch izb ustawodawczych, czy też przez uchwałę tylko jednej izby ustawodawczej, izby poselskiej, jest aktualne w Polsce nie po raz pierwszy. Omawiane zagadnienie ma już swą tradycję, sięgającą wstecz do doby najdawniejszej konstytucji Polski nowoczesnej. Mimo bowiem, iż wszystkie konstytucje, które obowiązywały na ziemiach polskich na przestrzeni lat 1791—1921, poza konstytucją Wolnego Miasta Krakowa z 1818 roku, przewidują sejm dwuizbowy, to i także naród polski mógł wywierać wpływ na treść którejś z konstytucji, tylekroć, w taki czy inny sposób, wpływało poprzednio wspomniane zagadnienie.

Z wszystkich wchodzących w rachubę konstytucji, jedynie dwie, a m. konstytucja z dnia 3 maja 1791 r. oraz z dnia 17 marca 1921 r., zostały uchwalone przez polskie ciała ustawodawcze. Reszta konstytucji natomiast została Polakom narzucona. A to konstytucja Księstwa Warszawskiego (1807) przez cesarza Napoleona, konstytucja Królestwa Polskiego (1815) przez cesarza rosyjskiego i zarazem króla polskiego Aleksandra I. oraz konstytucja Wolnego Miasta Krakowa (1818) przez trzy mocarstwaaborcze, których intencje realizował komitet konstytucyjny.

1791 r.

Według konstytucji 3 maja sejm („stany zgromadzone”) składał się z izby poselskiej oraz izby senatorskiej, w której przewodniczący sprawował król. Izba poselska została jednak przez Sejm Czteroletni wybitnie inaczej potraktowana, niż izba senatorska. Izba poselskiej przyznano bowiem charakter „wyobrażenia i składu wszechwładztwa narodowego” oraz „świętą prawodawstwa”. W skład izby poselskiej wchodziło posłowie, pochodzący z wyborów w skład izby senatorskiej zaś biskupi, wojewodowie, kasztelani i ministrowie — pochodzący z nominacji królewskiej. Mandat poselski trwał 2 lata, godność senatorska natomiast była dożywotnia. Inicjatywa prawodawcza należała do króla. Projekty ustaw podlegały uchwale izby poselskiej, następnie senatorskiej. W niektórych wypadkach (np. uchwalanie budżetu, ratyfikacja traktatów itp.), obie izby głosowały łącznie. O wyniku głosowania decydowała zazwyczaj liczniejsza izba poselska. Kiedy natomiast każda z izb głosowała oddzielnie (np. uchwalanie ustaw zasadniczych, podatków wieczystych itp.), izba senatorskiej przysługiwało prawo zawieszania uchwał izby poselskiej do następnego sejmiku. O ile jednak nowa izba poselska ponowiła uchwałę poprzedniej izby poselskiej, opozycja (zawieszenie) izby senatorskiej przestawała działać. W takich wypadkach, to co zostało uchwalone tylko przez samą izbę poselską, stawało się ustawą, z tym jedynie, że jej moc obowiązująca doznała odroczenia na przeciąg dwóch lat.

Nominowanie senatorów należało od wieków do uprawnień królewskich. Uprawnienie to usankcjonowała konstytucja majowa i to w sposób zupełnie wyraźny. Mimo to, na sesji Sejmu Czteroletniego w dniu 12 maja 1791 r., usiłował podważyć omawiane uprawnienia poseł żmudzki, Karp, w związku z przyznaniem izbie senatorskiej prawem zawieszania uchwał izby poselskiej. Karp przede wszystkim domagał się, by senatorowie świeccy zasiadali w izbie senatorskiej nie z bezpośredniej nominacji królewskiej, lecz by sejmiki wybierali w sposób tajny („wotami cichemi”) po dwóch kandydatów, z których jednego król mianowałby senatorem. Zwolennicy tej inicjatywy wskazywali, że ona nie narusza postanowień konstytucji, gdyż król zatrzymałby nadal prawo nominacji, ograniczone jedynie do dwóch osób, posiadających zaufanie współobywateli. Mandat senatora miałby trwać 6 lat, a więc przez czas trwania kadencji trzech sejmów, gdy do owej pory godność senatora — jak już poprzednio wspomniano — była dożywotnia. Senatorowie ponadto musieliby, podobnie jak posłowie, składać na sejmikach sprawozdania przed wyborcami ze swej działalności na terenie sejmowym. W wyniku dyskusji, Sejm Czteroletni uchwalił obiecałość kandydatów na senatorów świeckich, z tym jednak zastrzeżeniem, iż zasada ta nie obowiązywała Stanisława Augusta, lecz dopiero jego następców. Utrzymała się natomiast zasada dożywotności mandatów senatorskich.

Na sesji w dniu 26 maja 1791 r. znów „godził w powagę samej izby senatorskiej” poseł wileński, Korsak. Zgłosił on bowiem wniosek, by projekty, bądź uchwalone jednomyślnie w izbie poselskiej, bądź przyjęte przez większość sejmików („większością instrukcyj”) nie musiały być odepływane izbie senatorskiej celem powzięcia uchwały, aprobowanej stanowisko, zajęte poprzednio przez izbę poselską. W pewnych wypadkach tedy, wole sejmów wyrażałaby uchwała, powzięta — z pominięciem izby senatorskiej — przez samą izbę poselską. Wobec opozycji króla, że „nie pozwoli na żadne uszkodzenie” konstytucji, omawiany wniosek upadł.

Na uwagę „zasługuje, że poprzednio omówiony „wyłom w prerogatywach królewskich” odnośnie do bezpośredniego nominowania senatorów świeckich, uczynili nie przeciwnicy, lecz zwolennicy i nawet twórcy konstytucji majowej. Czytamy na ten temat w liście Stanisława Augusta do Bukatego z dnia 14 maja 1791 r., że wspomniany projekt „wnosił nawet nasi”. Zwolennicy konstytucji, na równi z jej przeciwnikami bowiem, obawiali się silnej władzy monarchicznej. Pod omawianym względem, sprawcy owego wyłomu wzorowali się na postanowieniach konstytucji Stanów Zjednoczonych A. P. z 1787 r.

1793 r.

Uchwały Sejmu Czteroletniego, i tym samym Konstytucję 3 Maja, zniosła faktycznie Konfederacja Targowicka w 1792 r. W rok później, Sejm Grodzieński uchwalił „Prawa Kardynalne”, które zniosły uchwały Sejmu Czteroletniego także i formalnie. Prawa te — „sformułowane na wzór konstytucji majowej, której miały być zaprzeczeniem” — stanowią, że Rzeczypospolitej „władza najwyższa i prawodawcza zamyka się w sejmie, mającym na czele króla, w składzie z senatu i stanu rycerskiego”. Struktura, sposób obrad, wzajemny stosunek itp. poszczególnych izb sejmowych nie jest ustalony. Mowa jest jedynie o sejmie, jako całości. Do jego uprawnień należało m. in. zwolnienie narodu od posłuszeństwa królom, o ileby „co z praw kardynalnych Rzplitej lub paków konwentów zaprzysiężonych przestąpił lub złamał”.

1807 r.

Konstytucja, nadana Księstwu Warszawskiemu przez cesarza Napoleona, w Dreźnie w dniu 22 lipca 1807 r., kładzie większy nacisk na senat, skoro stanowi, że sejm „składa się z dwóch izb, tj. z izby pierwszej czyli izby senatorskiej i z drugiej izby, czyli poselskiej”. Mimo to, kolejność uchwał obowiązywała taka sama, jak według konstytucji majowej, a m. projekty rządowe podlegały uchwale najpierw izby poselskiej, następnie izby senatorskiej. Składała się ona z 18, a od 1810 r. z 30 senatorów, mianowanych przez króla. On również wyznaczał przewodniczącego senatu spośród jego członków. Ich „urzędowanie” było dożywotnie.

Senat mógł odmówić „sankcji” projektu, uchwalonego przez izbę poselską, m. in. o ile uznał, iż „prawo jest przeciwne albo bezpieczeństwu kraju albo przepisom ustawy konstytucyjnej”. W takim wypadku król (książę warszawski), na skutek interwencji senatu, uchyłał uchwałę izby poselskiej. O ile senat odmówił „sankcji” projektu, uchwalonego przez izbę poselską, król mógł również odrzucić projekt skierowany z powrotem do senatu, zwiększając jednocześnie stan liczebny senatorów świeckich. Król mógł wreszcie — mimo odmowy senatu — nakazać ogłoszenie projektu, uchwalonego jedynie przez izbę poselską i tym samym nadać mu moc obowiązującą ustawy. Do kompetencji senatu należała właściwie kontrola co do przestrzegania przez izbę poselską przepisów formalnych oraz postanowień konstytucji. Inicjatywa ustawodawcza przysługiwała — podobnie jak według konstytucji majowej — królowi z tym, iż właściwa komisja izby poselskiej mogła, przed wniesieniem projektu ustawy na plenum tej izby, domagać się od rządu zmian w projekcie. Na plenum izby poselskiej, głos w dyskusji nad projektem ustawy mogli zabierać tylko przedstawiciele rządu (rady stanu) oraz członkowie właściwej komisji sejmowej, reszta posłów natomiast była pozbawiona prawa głosu. Tego rodzaju ograniczenie nie obowiązywało na terenie senatu, który nie wytylał komisji, których obrady wyprzedzałyby obrady plenum izby senatorskiej.

Do senatu należał jeszcze nadzór nad prowadzeniem ksiąg obywatelskich, decyzja o ważności sejmików i zgromadzeń gminnych itp. Ze względu na załatwianie tego rodzaju spraw, senat zbierał się częściej, niż izba poselska.

1815 r.

Z części Księstwa Warszawskiego zostało na Kongresie Wiedeńskim w 1815 r. utworzone Królestwo Polskie „na zawsze połączone z Cesarstwem Rosyjskim”. Księstwo Polskie otrzymało konstytucję z dnia 27 listopada 1815 r. Przed jej nadaniem, Adam Czartoryski ułożył „Zasady konstytucji Królestwa Polskiego”. Podpisał je w dniu 25 maja 1815 r. cesarz Aleksander I, dopisując, iż mają one służyć „za niezmiennie prawidło i za instrukcję nowemu tymczasowemu rządowi” Królestwa. Z uwagi na ten dopisek, omawiane „Zasady” nabrały charakteru tymczasowej konstytucji. Owe zasady wspominają jedynie ogólnikowo o „sejmie jenerałnym”. O tym, iż ten sejm pomyślany był jako dwuizbowy, świadczyłyby następujące okoliczności: 1) nadal miały obowiązywać instytucje („urządzenia”) przewidziane przez konstytucję Księstwa Warszawskiego, o ile co do nich omawiane „Zasady” nie wprowadzają zmian, oraz 2) według omawianych „Zasad” senat jest „najwyższym trybunałem narodowym”, przed którym odpowiedzialni są ministrowie i inni członkowie rządu (rady stanu).

Na podstawie wspomnianych „Zasad” oraz licznych projektów i uwag (m. in. rosyjskie-

go senatora Nowosiłowa), powstała konstytucja Królestwa Polskiego z dnia 27 listopada 1815 r. Według niej: „Naród Polski nie będzie wiecznymi czasami reprezentację narodową w sejmie, złożonym z króla i z dwóch izb, z których pierwsza składać się będzie z senatu, druga z posłów i deputowanych od gmin”. W skład izby senatorskiej wchodziła książęta krwi cesarsko-królewskiej (dolna granica wieku: 18 lat), biskupi, wojewodowie i kasztelani (35 lat) w maksymalnej liczbie 64 osób. Mianował ich dożywotnio król częściowo bezpośrednio, częściowo spośród kandydatów, przedstawionych przez senat. Inicjatywa prawodawcza przysługiwała królowi. Wnosił on projekty ustaw bądź do izby poselskiej, bądź senatorskiej. Jedynie projekty ustaw skarbowych „pierwej do izby poselskiej powinny być wnoszone”. Raport generalny zaś o stanie kraju, rząd komunikował sejmowi na posiedzeniu izb połączonych. Projekt, uchwalony przez jedną z izb, mógł być przez drugą izbę w całości bądź przyjęty, bądź odrzucony, nie mógł natomiast być zmieniony. Na posiedzeniach plenarnych przedstawicielom rządu oraz członkom komisji senackich wolno było odczytywać przemówienia („mied mowy z pisma”), reszta senatorów musiała przemawiać z pamięci. Takie samo ograniczenie obowiązywało na terenie izby poselskiej. Do kompetencji senatu należało sądownictwo niektórych kategorii zbrodni, sprawozdanie ksiąg obywatelskich itd.

1830 r.

W dobie powstania listopadowego i spowodowanej jego wybuchem wojny polsko-rosyjskiej, poprzednio omówiona konstytucja Królestwa Polskiego z 1815 r. została w zasadzie utrzymana, a uległa jedynie daleko idącym zmianom, dokonany przez sejm rewolucyjny. Składał on się i w omawianej dobie z dwóch izb. Ich działalność ustąpiła po ogłoszeniu się Chłopskiego dyktatora, obok którego istniała jedynie deputacja sejmowa, złożona z prezesa senatu i 5 senatorów oraz podobnego zespołu, wyłonionego z izby poselskiej. Po ustąpieniu Chłopskiego ze stanowiska dyktatora, sejm, w składzie obu izb, wznowił swą działalność. Projekty rządowe wpływały do jednej z izb, przeważnie jednak do izby poselskiej. Często obradowały obie izby łącznie. Inicjatywa prawodawcza, która, w myśl postanowień konstytucji z 1815 r., należała do króla, przysługiwała w dobie powstania (wojny) rządowi oraz każdej z izb, wobec orzeczonej przez sejm w styczniu 1831 r. detronizacji króla. O ile projekt, uchwalony przez jedną z izb, nie został przyjęty przez drugą izbę, podlegał jeszcze obradom obu izb połączonych, które łączną większością projekt uchwały lub odrzucały. Senatorów wybierał sejm „z podanych sobie przez senat, w podwójnej liczbie na każde miejsce, kandydatów”.

1832 r.

Po stłumieniu powstania listopadowego (zakończonych wojnie), cesarz Mikołaj I. wydał w dniu 26 lutego 1832 r. „Statut Organiczny dla Królestwa Polskiego”, które „przyłączone na zawsze do Państwa Rosyjskiego stanowi nierozdzielna część tego Państwa”. Ten „Statut” miał zastąpić konstytucję z 1815 r., która jednak w sposób formalny i tym razem nie została zniesiona. Omawiany „Statut” nie przewiduje — z istoty rzeczy — istnienia jakiegokolwiek ciała ustawodawczego w skali państwowej.

1818 r.

Według postanowień konstytucji Wolnego Miasta Krakowa i jego Okręgu, nazwa „Senat” przysługiwała rządowi, który sprawuje w całej zupełności władzę wykonawczą. Członkowie rządu nosili tytuł senatorów. Władza ustawodawcza należała do jednoizbowego Zgromadzenia reprezentantów, pochodzących częściowo z wyborów, częściowo zaś delegowanych przez senat, kapitułę, uniwersytet itp. Jedynie te projekty ustaw mogły być rozpatrywane przez Zgromadzenie reprezentantów, które uzyskały uprzednią aprobatę senatu. Zmiany w składzie Zgromadzenia reprezentantów wprowadziła konstytucja z 1833 r. oraz Statut Organiczny z 1842 r. Do kompetencji Zgromadzenia reprezentantów należały wybory wyższych urzędników i sędziów.

1917 r.

W ostatnim okresie wojny światowej, w związku z aktem okupantów z dnia 5 listopada 1916 r., komisja, powołana do życia przez Tymczasową Radę Stanu, opracowała projekt konstytucji, który przewidywał króla oraz sejm dwuizbowy. Połowa członków senatu miała pochodzić z wyborów, połowa zaś z nominacji. Senat miał reprezentować interesy „poszczególnych warstw społeczeństwa”.

1919 r.

Po wskrzeszeniu Państwowości Polskiej w stopadzie 1918 r., uchwała Sejmu Walnego Rzeczypospolitej Polskiej z dnia 20 lutego 1919 r. stanowiła jedynie ogólnikowo: „Władza suwerenna i ustawodawcza w Państwie Polskim jest sejm ustawodawczy”.

1921 r.

Główne zadanie poprzednio wspomnianego Sejmu, jako Ustawodawczego, który zebrał się w dniu 9 lutego 1919 r., stanowiło uchwalenie konstytucji. W związku z tym, rząd zainicjował ankietę, która opracowała projekt konstytucji. Przewidywał on sejm dwuizbowy. Trzy czwarte senatorów miało pochodzić „z wyborów od organizacji samorządowych”, zaś jedna czwarta z kooptacji. W dniu 6 maja 1919 r., rząd wniósł deklarację konstytucyjną „utrzymaną w tonie ogólnikowym, przypominającą stylem ustawę 1791 (tzn. konstytucję majową), tym głównie różniącą się od projektu ankiety, iż... obok sejmu jednoizbowego istnieć miała bliżej nieokreślona straż praw...”. Poza wniesioną przez rząd deklarację konstytucyjną, wpłynęło do sejmu kilka projektów konstytucji, opracowanych przez stronnictwa polityczne. Podobnie, jak wspomniana deklaracja rządowa, sejm jednoizbowy przewidywały również projekty PPS, Wyzwolenia i Związku Ludowo-Narodowego, a więc zarówno projekty stronnictw lewicowych, jak i prawicowych. Z biegiem czasu jednak, rząd (pod wpływem stanowiących w danej chwili większość stronnictw prawicy) zmienił swe stanowisko, a to oświadczając się za sejmem dwuizbowym „z senatem, reprezentującym interesy warstw społecznych i wirylistami”. Wobec równości w izbie poselskiej głosów polskich, języczek u wagi stanowią głosy posłów niemieckich i one jedynie rozstrzygnęły na korzyść dwuizbowości sejmu. Pragmatycznie zapobiegając takiemu rozwiązaniu zagadnienia, czy konstytucja ma przewidywać sejm jedno- lub dwuizbowy, obóz postępowy wysunął koncepcję rozwiązania sejmu albo odwołania się do woli ludu. W realizacji tej koncepcji, został zgłoszony wniosek, domagający się przeprowadzenia referendum ludowego co do wprowadzenia do konstytucji senatu. Wniosek ten upadł również większością głosów niemieckich. A więc i obecnie zarządzone głosowanie ludowe w sprawie istnienia senatu ma już swą tradycję. Na uwagę jeszcze zasługuje, że wspomniany projekt konstytucji, opracowany przez PPS, przewidywał zamiast senatu — izbę pracy, jako drugą izbę sejmową, reprezentującą interesy świata robotniczego.

Na podstawie poprzednio wymienionych materiałów, komisja konstytucyjna sejmu opracowała projekt konstytucji. Projekt ten, po dokonaniu w nim wielu zmian, nabrał długiej, obecnie obowiązującej konstytucji, władzę ustawodawczą sprawują dwie izby: sejm i senat. Inicjatywa ustawodawcza przysługiwa rządowi i sejmowi, nie przysługując natomiast senatorowi. Projekty ustaw muszą być wnoszone do sejmu. Po ich uchwaleniu przez sejm, przekazywane są senatorowi do rozpatrzenia. O ile senat zaproponuje dokonanie zmian w projekcie, uchwalonym przez sejm, a on większością 1/2 głosujących odrzuci te zmiany, ustawa zostaje ogłoszona w brzmieniu, ustalonym ponownie uchwałą sejmu. Na odwrót — według postanowień noweli do konstytucji z dnia 2 sierpnia 1926 roku — jeżeli sejm najdalej w ciągu 3 i pół miesięcy od dnia złożenia przez rząd projektu, budżetu nie uchwali, senat przystępuje do rozważenia złożonego projektu. Senat składa się z 111 senatorów, pochodzących z wyborów.

1935 r.

Ze względów informacyjnych godzi się zaznaczyć, iż według postanowień konstytucji z dnia 23 kwietnia 1935 r., senat stanowi jeden z organów Państwa, pozostających pod zwierzchnictwem Prezydenta Rzeczypospolitej. Obok senatu istniała druga izba ustawodawcza — sejm. W czasie, gdy urząd Prezydenta Rzeczypospolitej jest opróżniony, funkcje Prezydenta sprawuje marszałek senatu, gdy natomiast według obecnie obowiązującej konstytucji z dnia 17 marca 1921 r. — marszałek sejmu. Wyboru nowego Prezydenta miało dokonywać zgromadzenie elektorów pod przewodnictwem marszałka senatu, gdy natomiast zgromadzeniu narodowemu, przewidzianemu przez obecnie obowiązującą konstytucję, przewodniczy marszałek sejmu. Inicjatywa ustawodawcza senatorowi nie przysługuje. Uchwałę senatu, odrzucającą przyjęty przez sejm projekt lub wprowadzającą w nim zmiany, uważa się za przyjętą, jeżeli sejm nie odrzuci jej większością 3/5 głosów. Senat składał się z senatorów, powołanych w 1/3 przez Prezydenta Rzeczypospolitej, a w 2/3 w drodze wyborów, ale niepowołanych, czynne prawo wyborcze do senatu mieli ludzie pewni dla reżimu. Senat wspólnie ze sejmem uprawniony był do pociągania ministrów do odpowiedzialności konstytucyjnej.

Co się tyczy celowości senatu, to jako jedyny argument, mający ją uzasadnić, wysuwana bywa opinia, wypowiedziana przed 155-ciu laty przez Stanisława Augusta na posiedzeniu sejmu w dniu 12 marca 1791 roku: senat daje gwarancję umiarkowanego i rozważnego ustawodawstwa, wobec czego sankcja izby senatorskiej przynosi pożytek sprawie publicznej. Na przestrzeni 155-ciu lat wiele pojęć uległo zmianie. M. in. konstytucja Księstwa Warszawskiego i Królestwa Polskiego zawierały postanowienia, zmierzające — jak poprzednio wspomniano — do zapobiegania, by uchwalanie projektów ustaw zbyt szybko się nie przedłużało. Zniesienie tedy senatu byłoby właściwie dalszym etapem na drodze do osiągnięcia owego celu. Jak zresztą z tego przeglądu historycznego wynika senat — w przeciwieństwie do sejmu zawsze w mniejszym znaczeniu stopniu reprezentował wolę szerokiej mas wyborców, a raczej składali się nań przedstawiciele panującej małej grupy szczególnie uprzywilejowanych.

WANDA LITAUER

Zagadnienie afiliacji

Podczas Zielonych Świąt odbędzie się doroczna konferencja brytyjskiej Partii Pracy, na której dwoma najważniejszymi zagadnieniami będą: polityka zagraniczna Bevena oraz sprawa przyjęcia komunistycznej partii.

Partia komunistyczna, która w początkach swego istnienia, stanowiła jeden z członków federacyjnej Labour Party, kilkakrotnie w przeszłości wysuwała propozycje powrotu, lecz wniosek ten na konferencjach był z reguły odrzucany, jakkolwiek stale zmniejszającą się ilością głosów.

Kwestia współpracy komunistów i socjalistów brytyjskich w łonie jednej organizacji na tle ruchu zjednoczonego wśród partii robotniczych na kontynencie i zadań stojących wobec demokracji — jest zagadnieniem o nie małym znaczeniu politycznym.

Problem tak zwanej afiliacji jest specyficznie brytyjski i nie sposób zrozumieć go bez zapoznania się przynajmniej z zarysem z historią i strukturą Partii Pracy.

W 1893 roku powstała w Anglii t. zw. Niezależna Partia Pracy, której współzałożycielami i pierwszymi przywódcami byli Keir Hardie, górnik szkocki, a potem R. Mac Donald i Snowden. Ideologiczny wpływ Towarzystwa Fabianów z Sydnsey i Beatrice Webb i G. Bernardem Shaw na nowopowstałą organizację był od początku dominujący. W przeciwieństwie do istniejącej Socjal - demokratycznej Federacji z Hyndmanem na czele organizacja nie miała charakteru marksistowskiego. W miarę upływu lat nie tylko R. Mac Donald, lecz i Keir Hardie upodobnili swą działalność polityczną i publicystyczną do credo Fabianów: pokojowe przekształcanie państwa kapitalistycznego przy użyciu perswazji i propagandy, na drodze reform społecznych w państwo sprawiedliwości społecznej.

Fabianizm obok znamion właściwych reformizmowi w innych krajach wyróżnia się momentami specyficznymi dla Anglii. Jako kierunek filozoficzny, fabianizm jest w znacznie większym stopniu spadkobiercą Benthama, J. S. Milla i tych liberatów angielskich, którzy popierali ingerencję państwa i reformy społeczne — nie Marksa. Fabianizm w przeciwieństwie do rewizjonizmu typu Bernstein, nie nastawia się w pierwszym rzędzie na krytykę marksizmu, lub na inną interpretację jego sformułowań. W Anglii, która na przestrzeni całego stulecia zajmowała monopolistyczne stanowisko pierwszego państwa przemysłowego, potem zaś utrzymała się jako centrum największego imperium kolonialnego, socjalistyczna świadomość, poza krótkim okresem chartyzmu była udziałem jedynie drobnych grup robotniczych. Fabiani w tych warunkach rozwijają tradycyjną doktrynę liberalizmu i radykalizmu angielskiego, z którą łączą niektóre postulaty socjalistyczne. Tendencje imperialistyczne ujawniły się w fabianizmie zwłaszcza w ocenie roli cywilizacyjnej imperium brytyjskiego. Niektóre wystąpienia G. B. Shaw'a dają wyraz tym tendencjom.

Charakterystyczną dla linii rozwojowej niektórych Fabianów jest ewolucja jaką przeżył małżonkowie Webb, najwybitniejsi teoretycy kierunku. Autorowie klasycznego dzieła na temat historii ruchu za wodowego w Anglii, w 1936 roku, po dłuższej podróży do Rosji, wydali jedno z najlepszych swych dzieł, poświęcone Związkowi Radzieckiemu. Praca ta ukazała się pod tyt.: Radziecki komunizm — Nowa cywilizacja. Mimo pozytywnego stosunku do rewolucyjnego systemu ujęcie Webbów nie jest bynajmniej marksistowskie. Znamienna jest konkluzja dzieła, która w dużym stopniu świadczy o ewolucji ruchu fabianowskiego. Webbowie przewidują rozwój sowieckiej formy rządów w innych krajach, przy uwzględnieniu warunków historycznego rozwoju i t.d.

W 1900 powstał t. zw. Komitet Parlamentarny Pracy, który w roku 1906 oficjalnie przybrał miano Partii Pracy. Partia ta była federacją, której członkami były związki zawodowe, NPP, Towarzystwo Fabianów i Socjal-Demokratyczna Federacja. Ta ostatnia ustąpiła niebawem z Partii Pracy, oskarżając nowopowstałe ciało o brak socjalistycznej ideologii. Jak z powyższego wynika, od swego zarania brytyjska Partia Pracy była organizacją o charakterze federacyjnym, opartą o umasowiające się związki zawodowe. Tradycja i konstytucja Partii z 1919 r. uprawniały do zbiorowego członkostwa

robotnicze organizacje polityczne, spółdzielcze i naukowo-społeczne. Konstytucja z 1919 r. wprowadziła poraz pierwszy członków indywidualnych zgrupowanych w okręgach wyborczych. Charakter partii utrzymał się bez większych zmian do dnia dzisiejszego.

Do dzisiejszej Partii Pracy należą związki zawodowe, indywidualni członkowie w okręgach wyborczych oraz Towarzystwo Fabianów, Partia Spółdzielcza. Poza partią znajduje się rozłamowa grupa, która przyjęła w 1932 r. dawną nazwę: Niezależna Partia Pracy o wpływach ograniczonych głównie do Glasgowa oraz Komunistyczna Partia. (Obydwie te organizacje zabiegają o afiliację).

Stosunek członkostwa zbiorowego do indywidualnego jest jak 9 do 1, masowy charakter partii zależy więc całkowicie do udziału w niej ruchu zawodowego. Decydująca masa związkowców nie jest jednolita pod względem sympatii politycznych. Zarówno fabianizm jak i marksizm ma zwolenników.

Brytyjska Komunistyczna Partia powstała w 1920 roku z połączenia trzech mniejszych organizacji socjalistycznych. Partia korzystała z poparcia największego działacza związkowego Toma Mana, a wpływy jej niewątpliwie przerastają szczytą reprezentację w parlamencie, czy też 75-tysięczną liczbę członków.

Historia Partii Komunistycznej to walka o przełamanie izolacji i zdobycie dla ideologii marksistowskiej mas robotniczych zorganizowanych w związkach lub spółdzielniach. Partia ma za sobą znaczne osiągnięcia na terenie zawodowym wśród górników, mechaników i t.d. Federacyjna Partia Pracy stojąca otworem dla rozmaitych kierunków socjalistycznych stanowi naturalny teren pracy partii komunistycznej dla rozwijania i pogłębiania teorii i praktyki marksizmu. Na tym terenie mimo trudności wynikających z braku afiliacji i innych, komuniści pracują nieprzerwanie.

Struktura brytyjskich związków zawodowych jest skomplikowana i nie łatwo zrozumiała. Obok związków, pochodzących z okresu, kiedy ruch zawodowy skupiał podług fachów drobne grupki dobrze płatnych fachowców, t. zw. *Craft Union* — mamy masowe nowoczesne organizacje zawodowe, łączące pracowników po-

szczególnych przemysłów bez różnicy fachu w jednym związku.

Ruch zawodowy, który umasowił się u schyłku XIX stulecia, gdy utrwaliło się monopolistyczne stanowisko Anglii na rynkach światowych, liczy obecnie w swych szeregach ponad 6 milionów.

Najważniejszymi organizacjami są: Związek Górników, Zjednoczenie Mechaników, Związek Kolejarzy oraz Związek Robotników Transportowych i Ogólnych. Ten ostatni związek, liczący ponad 1 milion członków obejmuje poza robotnikami komunikacyjnymi najrozmaitsze inne fachy, które nie mogły znaleźć miejsca jako część innych, często jeszcze ekskluzywnych związków.

Na ogół można zaobserwować następującą tendencję rozwojową w brytyjskim ruchu zawodowym w sprawie współpracy partii robotniczych. Związki zawodowe na terenie tradycyjnych przemysłów angielskich, jak węgiel, stal, budownictwo maszynowe, sprzyjają zjednoczeniu organizacyjnemu. Młodsze organizacje zawodowe, zwłaszcza przemysłu lekkiego zajmują stanowisko odmienne. Nie posiadają one dojrzałości politycznej, płynącej z doświadczeń akcji zawodowych, są z reguły uległe grupie parlamentarnej i kierownictwu partii.

Przewodniczący Partii Pracy prof. Laski, jest autorem wielu prac na tematy filozoficzno-społeczne. Prof. Laski, którego Churchill w okresie przedwyborczym kreował nieledwie na angielskiego Lenina, przeprowadził cenną analizę marksistowską ustroju brytyjskiego w dziele p. t. „Angielski System Parlamentarny”. W innym dziele profesor przeprowadził liberalną krytykę systemu sowieckiego. Dla Laskiego marksizm nie jest bynajmniej światopoglądem filozoficznym, lecz raczej użytecznym narzędziem dialektycznym, przydatnym w pewnych wypadkach, lecz które w każdej chwili można odrzucić. W sprawie afiliacji prof. Laski, zgodnie z większością grupy parlamentarnej jest przeciwny współpracy organizacyjnej z komunistami.

Sposób, w jaki zostaną rozwiązane zagadnienia: polityki zagranicznej i afiliacji, będzie barometrem dojrzałości politycznej robotników brytyjskich. Klasa robotnicza

kraju, któremu oszczędzona została gorzka lekcja hitlerowskiej okupacji — jakkolwiek powoli, zmierza ku jednoci i samodzielnoci ideologicznej.

W wyniku ostatniej wojny szeregi robotnicze w Anglii wzrosły nie tylko liczebnie, ale i wzmożło się zainteresowanie dla spraw politycznych i aktywność proletariatu.

Ideologiczny charakter wojny przeciwko niemieckiemu faszyzmowi w sojuszu z socjalistycznym Związkiem Radzieckim, którego siła ujawniła się w całej pełni, wojenne zarządzenia w dziedzinie wyżywienia, na rynku pracy itp., idące znacznie dalej niż w okresie pierwszej wojny światowej — wszystko to wpłynęło na emancypację polityczną klasy robotniczej w najstarszym historycznie społeczeństwie kapitalistycznym.

W okresie wojny, w szeregu ważnych jednostek przemysłowych zorganizowano dla powiększenia i usprawnienia produkcji komitety fabryczne, w których obok dyrektorów wzięli czynny udział robotnicy. Doświadczenia płynące z aktywnego udziału w kierownictwie fabryk będą wykorzystane w okresie nacjonalizacji podstawowych gałęzi przemysłu. Zagadnienie jednoci, nawet w wypadku odrzucenia na dorocznej konferencji nie zejdzie z porządku dziennego. Jednoci na dłuższą metę zależy od zmian ekonomiczno - społecznych jakie dokonywują się w Wielkiej Brytanii. Obok polityki partii robotniczych i przemian międzynarodowych jest to czynnik najważniejszy. Socjalizacja produkcji zapoczątkowana nacjonalizacją kopalń i Banku Angielskiego, inne ustawy dotyczące ubezpieczeń społecznych — są pierwszymi posunięciami w kierunku socjalistycznej Anglii, opartej o planową gospodarkę. Masy ludowe udzieliły obecnemu rządowi mandatu dla zrealizowania programu socjalistycznego.

Przeciwko socjalizmowi organizuje się obóz konserwatywny, oparty o potężne zasoby materialne, tradycje, wpływy personalne i ustrojowe. Obóz ten wykorzystuje wszelkie niepowodzenia i trudności rządowe na drodze realizowania planu nacjonalizacji.

W tych warunkach szeroka mobilizacja wszystkich sił demokratycznych, szczerze współdziałających z socjalistycznym rządem, stanie się koniecznością.

Może bowiem grozić w przeciwnym wypadku załamanie się całego programu nacjonalizacji rządu Partii Pracy z nieobliczalnymi konsekwencjami dla brytyjskiego i międzynarodowego ruchu robotniczego.

MIECZYSLAW PORĘBSKI

O sztuce malarskiej*)

Najogólniejszych źródeł tematyki malarskiej szukać by, jak mi się zdaje, należało w tych koncepcjach rzeczywistości, które — uświadomione, albo częściej nie-uświadomione — stanowią powszechną własność klas społecznych, epok i środowisk. Tematykę malarską wiąże tu z koncepcjami rzeczywistości, a nie z najszerzej pojętą rzeczywistością wprost — nie tylko dlatego, żeby nie przesądzać realnego istnienia albo niestnienia tematu, albo żeby uchronić się od rozważań w rodzaju: czy temat jest, czy nie jest obecny w wizji. Idzie o to, że w gruncie rzeczy wszystko, co o rzeczywistości samej mówi się i myśli, obraca się w granicach takich albo innych koncepcji i schematyzacji i tylko w takich granicach może mieć określony sens i znaczenie. Poszczególne koncepcje rzeczywistości tak dalece mogą przy tym różnić się od siebie, że pomijanie tych różnic przy interpretowaniu przesłanek różniłoby poważnymi nieporozumieniami.

Koncepcje rzeczywistości są różne. Każda z nich na swój sposób usiłuje usystematyzować i podporządkować ogólniejszym zasadom materiał faktów i zjawisk dany doświadczeniu. Każda inaczej stara się wypełnić istniejące w doświadczeniu tym luki i przerwy, każda inaczej schematyzuje wielostronną i wielokształtną rzeczywistość. Koncepcje rzeczywistości nie są czymś bezwzględnie ustalonym. W dziejach międzyludzkiego porozumienia ścierają się one ze sobą i walczą, wypierają się wzajemnie i przewyciężają, a każda dąży do narzucenia ludziom swojego własnego spojrzenia na rzeczywistość, swojej własnej postawy, własnych dążeń i celów. Żaden też żyjący w zbiorowości

osobnik ludzki nie patrzy na rzeczywistość nieuprzedzonym okiem. Każdy nagina wzrok swój do przyjętych powszechnie schematów i mniemań, każdy widzi tak, jak widzieć się nauczył, każdy z mniejszą lub większą dozą samowiedzy stosuje wobec rzeczywistości obowiązujące w jego środowisku wyobrażenia, kryteria i kategorie. Od tego ogólnego prawa nie stanowi oczywiście wyjątku artysta, któremu panujące stosunki pozwalają podejmować problemy malarskie i na swój sposób realizować ich rozwiązania. Dlatego wydaje mi się, że nie popełnię metodologicznego błędu, jeżeli dla wyjaśnienia i klasyfikacji tematyki wizji wyjdę od podstawowego rozróżnienia pośród tych wszystkich koncepcji rzeczywistości, które powtarzają się w teorii i w praktyce życiowej cywilizowanych społeczeństw, a mianowicie od przeciwstawienia koncepcji idealistycznych koncepcjom realistycznym.

Biorąc z grubsza, stanowisko realizmu jest koncepcją rzeczywistości jako świata rzeczy, stanowisko idealizmu zaś — koncepcją rzeczywistości jako świata idei. Innymi słowy, dla realizmu stosunki pomiędzy elementami rzeczywistości są stosunkami natury realnej, dla idealizmu, zaś te same stosunki są tylko stosunkami idealnymi. Tu trzeba zauważyć, że stosunki idealne są zawsze stosunkami abstrakcyjnymi. Nie wynikają one nigdy z konkretnych przedmiotów w ich indywidualnej, skomplikowanej niepowtarzalności, ale odnoszą się do tego, co jest poszczególnym przedmiotem wspólne — do oderwanego świata jakości. Analogie jakościowe wiążą według idealizmu przedmioty w ten sposób, że jeżeli nawet faktami jakościami poszczególne przedmioty różnią

się od siebie, to zawsze znajdują się jakości takie, przez które będą one ze sobą identyczne. Tą drogą każdy przedmiot da się zawsze podciągnąć pod mniej lub więcej ogólne pojęcia i kategorie. W miejsce konkretnych, realnych rzeczy idealizm widzi w rzeczywistości uporządkowane, coraz ogólniejsze, coraz bardziej oderwane hierarchie jakości, hierarchie idei. Idee te mogą być bądź ideami obiektywnymi pochodzenia metafizycznego, bądź ideami pochodzenia subiektywnego; zasadniczymi elementami naszych wyobrażeń, poza którymi gubi się całkowicie autonomiczna, przedmiotowa, wspólna wszystkim rzeczywistość.

Jako postawa wobec rzeczywistości wykazuje idealizm tendencję do generalizowania zjawisk z podmiotowego, subiektywnego stanowiska. Stanowisko to czasem ma ambicję stanowiska obiektywnego, legitymując się niejasną spekulacją metafizyczną albo cynicznie rzeczywistość przewagę, czasem zaś przechodzi bez zastrzeżeń w rozkochany w swoich doznaniach autyzm jednostki, nie baczącej na grożącą jej fałową schematyczność i nudę osamotnienia.

Inaczej realizm. W jego koncepcji rzeczywistość określają nie oderwane stosunki jakości, ale konkretne stosunki rzeczy, a schematy poznawcze są zawsze tylko schematami dobieieranymi do różnorodności faktów i zdarzeń, wobec których osobnik decydować musi swe stanowisko. Podczas gdy idealizm skłonny jest sprowadzać wszystko do jednoci abstrakcyjnych kanonów i harmonii, dyktowanych jednostce przez nawyki obserwacji, realizm dostrzega zasadniczą wielość konkretnych spraw i rzeczy na wiążącym je materiał.

*) Fragment większej całości.

nym podłożu. Dlatego zabierając się do jakościowego porządkowania zjawisk realista pamięta, że jakości nie są wcale ostateczną zasadą istnienia, ale stanowią po prostu zespół narzędzi, przy pomocy których osobnik rozpoznaje realne stosunki otaczającego go świata. W koncepcji realistycznej bowiem rzeczywistość zaczyna się tam, gdzie w koncepcji idealistycznej rzeczywistość się kończy. Poza subiektywnym oglądem, poza formalnym uschematyzowaniem danych zmysłowych koncepcja

biegało, wszystko, co przeczyłoby idealnym wyrozumowanym schematom wyglądu, zostaje konsekwentnie wyeliminowane i usunięte jako nieistotne, przypadkowe lub wręcz fałszywe. Oparta tematycznie o taką koncepcję świata wizja nabiera znamion idealnej prawidłowości i perfekcji. Motywy, z abstrakcyjną precyzją wykreślone i abstrakcyjnie w przekrojach i skróceniach perspektywnych powiązane, pozornie tylko przypominają realne przedmioty z rzeczywistego zdarzenia. W isto-

Innym logicznie - abstrakcyjną przewagą formy nie zawsze wystarczy. Artyści tacy jak Giorgione, Correggio, Tycjan, Veronese, a potem chociażby Rubens, a potem jeszcze osatni tej klasy Watteau, zapragnęli bardziej intymnego stosunku do tego, co powtarzają i tworzą. I ci jednak nie wyjdą poza silnie zmysłowy, ale podobnie schematyczny czar jakości, poza wciąż te same rewelacje powierzchni, barwy i światła, jako projekcje ich gorącego, wrażliwego naskórka i rozedrganej wyobraźni. Idealizm ich, silnie zabarwiony osobistym niepokojem wiecznie sobą zajętego podmiotu, rzadko zdobywa się na wnikliwe spojrzenie w przedmiot, wtedy jednak znacznie bliższy jest realizmowi niż abstrakcyjna sztuka obiektywizującego naturalizmu. Postawę tę, przerzucającą całkowicie akcent z obiektywnej harmonii natury na subiektywną harmonię zmysłowego odczuwania, określić by można jako **idealistyczny sensualizm**.

W sztywności postawy idealistycznej wobec narastającej problematyki rzeczywistego świata ma swe źródło zjawisko, które w sztuce zwykło określać się mianem maniery. Artysta mierzący swoimi ideami czy swoim temperamentem rzeczywistość nie potrafił przeciwstawić się jej jak równy równemu, nie miał odwagi spróbować się z nią w otwartym, bezkompromisowym zmaganiu. I dlatego, jeżeli nacisk tej rzeczywistości był zbyt silny, nie próbował rozładować go w realnym przezwyciężaniu trudności, ale zamknął się w świecie swych czuć i wyobra-

tematyce wizji, gruntoowanej przez idealizm przeciwstawiła koncepcja realizmu tematykę, rzeczową, racjonalnie - empiryczną, krytycznie badawczą, tematykę, która sama przez się, nie pozwalając na łatwe schematy i uogólnienia. Dla idealizmu rzeczywistość kończyła się na subiektywnych czy absolutnych jakościach wyglądu. Dobór ich i zestrojenie na płaszczyźnie obrazu było jego ostatecznym, niekwestionowanym zadaniem. Realizm w rzeczywistości kazał widzieć nie tyle wyglądy ile zobowiązujące w pewien sposób motywy: niezależne, samodzielne, własną logiką uporządkowane indywidua, które poruszają czujność, uderzają spostrzegalnie, komponują się nie w oderwane formy, ale w rzeczywistość, spłotem spłotem realnych funkcji i relacji powiązane sytuacje. Znaleźć dla sytuacji tych równowagę w rozmiarach budowanego obrazu, przetransponować w jego zamkniętą powierzchnię całą mechanikę ich wewnętrznych więzi i kontaktów zewnętrznych, przetransponować środkami dysponowanymi, a więc w układach jakości, to musiało być jednak coś innego, coś trudniejszego i ryzykowniejszego, jak zestroić jakości same według prywatnych idei twórcy.

I była to zawsze istota realizmu. Ostatecznym jego argumentem stał się autonomiczny w ramach całości wizji motyw, a nie heteronomiczna, uzależniona od podmiotu jakość, motyw, który jakości warunkuje i uzasadnia, tłumacząc nieodzowną konieczność ich występowania w sposób przekonujący i prosty; motyw, któ-



Henri Matisse: Kobieta przed akwariem

realistyczna przewiduje niezależny mechanizm zjawisk, mechanizm, na który obserwator wpłynąć nie może inaczej, jak tylko realnie, konkretną decyzją i czynem. Czujny realista nie uwierzy nigdy w żaden schemat jako w ostateczne, uniwersalne osiągnięcie. Każda nowa sytuacja stwarza mu będzie na nowo konieczność skontrolowania pozostających do jego dyspozycji środków, każda akcja stanie się poszerzającym nabyte uprzednio doświadczenie eksperymentem, a każde osiągnięcie świeżym, niepodobnym do innych zdobyczą.

Nie jest moim zadaniem wykazywać drogi działania i konsekwencje obu koncepcji w życiu i historii. Ograniczę się tylko do ogólnikowego stwierdzenia, że nigdy to, co nazywamy ideologią pewnego społeczeństwa, a co jest praktycznym odpowiednikiem takiej czy innej teoretycznej koncepcji rzeczywistości, nie było bez przemożnego wpływu nie tylko na treść, ale i na formy cywilizacyjne, w których odnośne społeczeństwo się wypowiadało.

Dlatego wydaje mi się, że jeżeli tematu wizji malarskiej doszukiwać się zaczęliśmy nie w jakimś nieokreślonym bliżej niby rzeczywistym, czy może istotnie rzeczywistym świecie, ale w jednej albo drugiej, wyraźnie zarysowanej koncepcji rzeczywistości, to tak pojęty temat wyjaśnić potrafi niedwuznacznie i wyczerpująco wszystkie właściwości i problemy warunkowanej nim wizji, potrafi odsonić wszystkie jej racje pokazać ją w autentycznym świetle własnej jej ideologii, a przez to obiektywnie uznać i docenić choćby potem ją nawet przyszło i odrzucić. Oczywiście, jeżeli tylko hipoteza postawiona będzie trafnie i nie zaczniemy przymierzać do wizji ideologii jej obcej. Myślę jednak, że poczucie rzeczywistości historycznej, a bardziej jeszcze konsekwencja, z jaką właściwie założona ideologia tłumaczyć będzie właściwości wizji, dostarczą wystarczających sprawdzianów obranej drogi.

Jakościowe zestrąbianie momentów barwnych materii obrazu stanowi dla malarza tę zasadniczą metodę postępowania, bez której twórczość jego byłaby nie do pomyślenia. Idealne gamy i harmonie barwne, idealne rytmy i konfiguracje figur, abstrakcyjne, nie liczące się z anegdotą układy plam i kształtów są dla każdego plastyka nie tylko środkiem wypowiedzi ale i jej celem osobistym. W nich manifestuje się przecież cała wrażliwość i inwencja twórcy, w nich dochodzi do głosu jego nadrzędne w stosunku do rzeczywistości stanowisko demurga wyprowadzającego ład z dookólnego chaosu. W tych warunkach zrozumiałe się staje przeświadczenie, że subiektywnym prawom harmonii wyczuwanym przez artystę: prawom harmonijnego widzenia, podlega cała przyroda, że one to stanowią istotny logiczny kościół rzeczywistości. Wszystko to, co w przyrodzie od praw tych by od-

cie są to typy idei wcielone w materię według idealnych praw wyglądownych o powszechnym znaczeniu.

Wiara w idealną identyczność i doskonałość zróżnicowanych przejawów natury, które zawsze się dadzą jednoznacznie odwzorować w płaszczyźnie obrazu, jest kluczem do tej koncepcji rzeczywistości, którą określić by można jako **idealistyczny naturalizm**. Niejednokrotnie w dziejach narzucała się ona epokom całym jako panująca i wiążąca koncepcja tematu. Tak więc począwszy od owej grupy geometrów, architektów i malarzy florenckich, która około roku 1420 odkryła oderwany matematyczny schemat odwzorowania perspektywnego, wola idealistycznej, dumnej, panującej naturze logiki widzenia kieruje sztuką renesansu włoskiego. Mistrzowie quattro - i cinquecenta w zmierzających wysiłkach starają się odbudować antyczny kanon doskonałych proporcji ciała, malowane postaci pozują według nie zawodnych reguł kontrapostu, a dźwięczne uderzenia koloru komponują jak tony absolutnej, nieziemskiej melodii. I jeżeli



Georges Braque: Dzbanek i jabłka

żeń, wypowiadał się z ilozowanych od zewnątrz, targanych niepokojem wewnętrznym, tragicznie bezpłodnych, tragicznie powtarzających się kreacjach. W idealistycznej manierze ma swe źródło ostateczna niemoc tytanizmu Michała Anioła jak i chłodna, bezsilna płomienistość msty El Greca. Sztukę ich, zwróconą całkowicie ku sobie, odgradzoną od zewnętrzności nieprzepartym murem urażonej

ry nie jest pretekstem dla wyrażenia takiej czy innej idei, ale który w typowości jest pełnym znaczenia przejawem takiej czy innej rzeczy.

Dzieje realizmu w sztuce europejskiej są dziejami jego przedstawicieli. Realistyczna postawa wyklucza z zasięgu swych oddziaływań maniery, nie sprzyja powstaniu szkoły. Chyba że ulegnie nie z nią nie mającemu wspólnego idealistycznemu schematowi. Póki jednak jest żywa, uczy zawsze niedowierzania cudzej czy własnej wiedzy i umiejętności, uczy ostrożności w operowaniu starymi metodami wobec nowych zadań, żąda, żeby artysta rzeczywistości poświęcił siebie, żeby oddając na jej służbę całą swą wrażliwość i całe doświadczenie, umiał zawsze rezygnować z łatwych przyzwyczajęń i miłych uogólnień, w których każdy zamyka przecież jak najbardziej osobisty klimat jakości już przyswojonych i idei już wypróbowanych. Każdy prawdziwy realista stał wobec rzeczywistości naprawdę sam, nie po to, żeby się od niej z lekceważeniem odwrócić ale żeby samym sobą uczestniczyć w jej bogactwie i by ją potem samemu transponować na zawsze świeże środki artystycznego wyrazu. Bo takie jest prawo osobowości ludzkiej, że najwyższą indywidualność i odrębność zdobywa ona przez najściślej zespolecie i życie się z tym, co ją otacza: z realną strukturą najszerszego jej środowiska. Jednostka bowiem i jej idee nie określają bynajmniej harmonijnego i posłusznego zachęciom bytu, ale był złożony i różnorodny określa jednostkę, jej stanowisko, czyni i wielkość.

Idealizm włoskiego renesansu wyrósł w cieplarnianym klimacie średniowiecznej Italii, którego, gdy ustały rzymskie wyprawy niemieckich cesarzy, nie potrafiły już zamąć operowe gesty i namiętności rodzimych kondotierów. Trzeba było dopiero brutalnego najścia francuskiego barbarzyńcy, żeby dworny corteggiolo odczuł powagę rzeczywistości. Ale i wtedy poza dreszczami maniery nie znalazł innego sposobu zmanifestowania swego stosunku do niedelikatnego świata. Chyba że jak



Pablo Picasso: Kobieta z mandoliną

nawet wielki Leonardo zapragnie rozwiązać tajemnicę konkretnej, realnej indywidualności ludzkiej, to i on po latach cichych prac i dociekań da koncepcję tak abstrakcyjną, tak bardzo zbliżoną do skomplikowanego równania matematycznego, jaką jest Gioconda.

potęgi autyzmu, nazwać chciałbym **idealistycznym imaginizmem** z uwagi na to, że w niej zrewoltowana, a samotna wyobraźnia dochodzi do głosu z całą bezwzględnością i podporządkowuje sobie wszystkie środki artystycznego wyrazu.

Jakościowej, subiektywno - abstrakcyjnej

Leonardo da Vinci został rezydentem zdobywcy. W zupełnie innych warunkach zaczynał się i kształtował europejski realizm. Z rozpalonej, ważkiej atmosfery walk narodowościowych, klasowych, religijnych, wśród rozprężenia wojny stuletniej, wśród żakerii chłopskich i rewolucji mieszczańskich, rodziła się z tej strony Alp sztuka, która zaraz na wstępie zmanifestowała się dojrzałą powagą, Jana van Eycka, by poprzez Metsysa i Brueghla rozwijać się konsekwentnie aż po Halsę i dalej.

Wiek XVII, wiek ostatecznej kompromitacji i kapitulacji renesansowej, indywidualistycznej koncepcji człowieka dał ludziom uważnym dosyć okazji krytycznie realnego spojrzenia na rzeczywistość również i w innych środowiskach. Spojrzenie to kształtowało zarówno emfaticzną sztukę Caravaggia, jak cierpką wiedzę o szczytach i dołach powszedniej hierarchii ludzkiej Velasqueza, monumentalną koncepcję prostego człowieka braci Le Nain i poważną życzliwość dla mieszczańskiego wnętrza Vermeera z Delft, psychologiczną dośledliwość Filipa de Champaigne i przelamującą się w wizjonerstwo żarliwość Rembrandta.

Później poza melancholią Chardina niewiele już dorzucono do tych pozycji. Dopiero bezkompromisowy Goya na swój sposób powtarzał począł prawdy velasquezowskie. On, a potem romantyczny Delacroix, rzeczowy Courbet, zamysłony Corot i ostry, inteligentny Manet przenieśli tradycję realizmu w wiek XIX.

Jest w dziejach sztuki moment, w którym zamyka się dla nas dawnosć starych, czcigodnych mistrzów, a zaczynają się wypadki o wciąż jeszcze nierozgrzonym dostatecznie smaku aktualności. Sprawy zapoczątkowane przez Impresjonizm, przezwyciężane przez Cézanne'a odrzucone przez kubizm — wszystko to czeka jakby ciągle na rozrachunek, ociega się — nie ma nic, co by pozwoliło liczyć od nowa bieżące chwile artystycznej produkcji. I czy to nie są właśnie problemy ideologiczne, te, które wciąż jeszcze nie dają przejść do historii z górą siedemdziesięcio — bądź co bądź — letniemu okresowi? Czy aktualność jego nie leży w naszym własnym ideologicznym niepokoju?

Wychodząc z realistycznej sztuki Corota i Courbeta, nawiązując do malarstwa Delacroix, a powołując się nierzadko na Velasqueza i Wenecjan przeciwstawiali się impresjonistom panującemu banalowi idealizującego akademizmu współczesnych im malarzy historycznych, portretowych i rodzajowych. Niemniej przecież patrząc na rzeczywistość wyłącznie w jakościowych kategoriach koloru, a raczej naukowego jakoby, kolorystycznego schematyzmu, opierając się do tego szerzej o znaną formułkę Zola o „kawałku wszechświata widzianym przez temperament artysty”, formułkę, która wyraźnie podkreślała subiektywno-jakościową postawę malarza, przechodzili prawdę powiedziawszy na idealizm. Idealizm ten był typowo schyłkowy. Rzeczywistość rozbita na atomy jakości wrażeniowych stawała się pozbawionym wszelkiego nieprzypadkowego sensu, migotliwym chaosem. Chaosem był także ów świat ostatecznego mieszczańskiego liberalizmu, w którym impresjoniści tkwili i malowali.

Przez sztukę impresjonistów przeszła, ale tylko przeszła, sztuka Cézanne'a. Od nich Cézanne nauczył się, że jakość barwna jest dla malarza jedynym środkiem wyrażenia swego stosunku do rzeczywistości. Bez nich pojął, że rzeczywistość jest czymś, co przez same jakości określić się nie da, że konkretniej tej struktury powtórzyć nie jest w stanie najbardziej nawet naukowe odwzorowywanie przypadkowego wyglądu na płaszczyźnie obrazu. Ten negatywny wniosek kosztował Cézanne'a skupioną, upartą, bezustanną pracę całego życia. Dorabiając się go Cézanne świadomie wyzyskiwał podstawowe jakościowe możliwości powierzchni i koloru i transponował przedmiotowe motywy swej twórczości w rzeczywistość budowanych farb, na płótnie motywów obrazu. W tej programowej transpozycji leży istota niezaprzeczonego cézannowskiego realizmu.

Zadanie konstruowania rzeczywistości obrazu analogicznie, choć bynajmniej nie podobnie do nieprzypadkowej rzeczywistości rzeczy podjął po Cézanne'ie kubizm.

Z całą bezkompromisowością wyzwolonej świadomości plastycznej burzyli i kawałowali kubisci stereotypową poprawność jednolitych wyglądu, by z pieczołowicie wyselekcjonowanych elementów znaczeniowo — formalnych wiązać i składać wielką, inną, niespodziewaną, zastanawiającą i trudną, a przecież zawsze przekonującą, konkretną całość obrazu.

Sztuka kubistów daleka była od tego co współcześnie pod nazwami ekspresjonizmu czy futuryzmu, czy nieco później dadaizmu i surrealizmu, jeszcze raz potwierdzała starą prawdę o koniecznym bankructwie idealistycznej koncepcji w majaczeniach rozstrojonej imaginacji. Bli-

żej jej może było do konstrukcyjnych ideałów suprematyzmu, puryzmu, neoplasticyzmu i sztuki konkretnej, które zresztą pojawiły się już w pełni rozwoju kubizmu i niejedno mu zawdzięczały. O ile jednak program czystej konstrukcji sprządał temat obrazu do oderwania geometrycznych typów zależności przestrzennych i tylko przez swoją eksperymentatorską namietność ożywiał się w idealistycznej abstrakcji, o tyle dzieła Picassa, Braque'a i wcześniejsze dzieła Lëgera stały się zdecydowanie na gruncie rzeczywistości rzeczy, starając się rozwiązywać jej problemy od strony szczególnych swych tez i koncepcji.

Bo że kubizm był specyficzną manifestacją realistycznej oceny zjawisk, to widać chociażby z pasji, z jaką się w zjawiska te wdierał, żeby w samym jądrze przeniknąć ich nieodtwarzalną konsystencję. Że w stanowisku tym była spora doza perwersji, tego nie trzeba podkreślać. Dziś zapowiada się realizm oczywistszy i prostszy niż realizm tamtych czasów, realizm, który w proroczej furii Guerniki Picassa z lat rewolucji hiszpańskiej skrzyżować się musiał ze wszystkimi majaczeniami surrealizmu i użyć wszystkich środków ekspresjonistycznego wyrazu, żeby dorównać nadchodzącej rzeczywistości.

Mieczysław Porębski

Wciąż ta sama „Stara baśń”

Niezależnie od siebie, dwie firmy wydawnicze rzuciły na rynek prawie równocześnie — pokazanych rozmiarów — sławną powieść Kraszewskiego. Jedyna na szczupłej mimo wszystko liście wyprodukowanych w ciągu roku książek zdublowana pozycja i przy katastrofalnym braku papieru i wśród licznych innych trudności zaspokojenia palących potrzeb czytelników: wymowne świadectwo znaczenia autora a zarazem inercji w ustosunkowaniu się do niego. Dwukrotnie wznowiona „Stara Baśń” Kraszewskiego potwierdza starą baśń o Kraszewskim uparcie wznowianą a dwukrotnie fałszywą: jako o mistrzu powieści historycznych i jako o starym nudziarzu, który tylko ze względów dydaktyki historii godzien jest przypomnienia.

Czy „Stara Baśń” jest istotnie arcydziełem powieści historycznej? Uchodzi za najlepszą z cyklu, do którego jest wstępem: niewielka to pochwała. Wiadomo jak słabą pozycję wielkiego dzieła Kraszewskiego jest ten cykl powieści pisanych „na urząd”, z obowiązku patriotycznego, w najciemniejszym okresie niewoli powołującego pisarzy do „pokrzepiania serc” obrazami rozległej i pełnej chwały przeszłości, albo i po prostu — do popularyzowania historii polskiej, której nauczanie było zabronione na dziecinie dziejów obywateli. Kraszewskiemu nieporównana łatwość pióra i wyjątkowe oczytanie ogólne oraz dotychczasowy dorobek na polu dziejopisarstwa, stawiające go w rzędzie ówczesnych uczonych historyków naszych, narzucały to zadanie bardziej niż komu innemu.

Podjął je w całości, wykonał w rekordowym czasie lat dziesięciu z właściwą sobie pracowitością, sumiennością; podkreślić należy, że był to ostatni dziesięć lat jego życia, że te dwadzieścia osiem powieści w 79 tomach stanowią zaledwie część produkcji jego z tych lat. Ale bardziej jeszcze niż w innych swych wystąpieniach na polu powieści historycznej, nie zdołał pokonać właściwej trudności tego gatunku literackiego: nie umiał pogodzić swobodnej fabularnej inwencji z koniecznym, przez historię dyktowanym rozwojem wypadków. Mniej niż w innych powieściach cyklu skrepowany w utworze poświęconym Polsce „Bajecznej”, szczęśliwiej niż gdzie indziej w „Starej Baśni” wymyślał ten szkopuł; narzucał sobie jednak obowiązek trzymania się przekazów mitycznych (niezawsze szczęśliwie zarówno pod względem artystycznym jak i naukowym zracjonalizowanych) i tą stroną utworu błędną, mniej zapadającą w pamięć, — nie stanął na równi ze wspaniałymi intrygującymi a bliskimi czasem powstania romansami takimi jak „Macocha” lub „Dzieci wieku”. Jeśli chodzi o charakterologię, to z jednej strony, zbyt często rozpoznajemy podobieństwo jak w innych powieściach historycznych Kraszewskiego, przebranych w stylowe kostiumy ludzi jego epoki, czujących i reagujących czynnie na wypadki tak jak jego współtowarzysze z jego sfery, niekiedy tylko upodobnieni pod względem kultury duchowej do reprezentantów znanego mu z długiego współżycia ludu wolińskiego; z drugiej strony wśród tak ukostumowanej publiczności Kraszewski porusza się z mniejszą śmiałością i swobodą, nie rzucając tych ostrych i przenikliwych spojrzeń w dusze ludzkie, których tyle przykładów daje powieściopisarstwo jego „obyczajowe” i na tle tak mu bliskiej epoki stanisławowskiej.

Przechodząc z ostatnim ustępem do sprawy malowidła dla obyczajowego, cywilizacyjnego, czy „kulturowego” w „Starej Baśni”, stwierdzić od razu należy, że ani ono, ani wspomniane przed chwilą przebijanie się duszy współczesników Kraszewskiego poprzez oblicze nadgoplańskich „kneziów” i ich poddanych nigdy nie wywiera tu tego niezamierzonego efektu humorystycznego, który tak bardzo „na nas okrasza lekturę np. „Połaty córki” „dejk”. Okragłe pół wieku, które dzieło arcydzieła Bernatowicza od „Starej Baśni”, jest etapem postępu w

humanistyce bodaj jeszcze gwałtowniejszego, niż równoległy i synchroniczny postęp cywilizacji materialnej od dyktanda pocztowego do rozpowszechnienia kolei żelaznych i telegrafu. I tak jak dziś, pomimo dalszych wynalazków, posługujemy się najczęściej koleją i tym samym telegrafem Morsego, tak też mimo nowych odkryć historycznych i archeologicznych, możemy na ogół tylko podziwiać takt i umiejętność Kraszewskiego w zakresie wcielania w artystyczny obraz przedstworzonych mroków społeczeństwa polskiego. Uwidaczniają się te zalety zwłaszcza przy porównaniu z najnowszymi utworami na tle tak nieoczekiwane dziś mądrego XI w. naszej historii; za daleko by nas odwiodły od tematu uwagi krytyczne o tych ostatnich dziełach polskiego dramatu i powieści!

Wystarczy podkreślić poczucie granic realizmu u tego wielkiego poza tym realisty, jakim był Kraszewski, magnus parens realizmu powieściowego w Polsce — stąd idzie umyślna a powiedzielibyśmy, jeszcze niedostateczna poetyzacja języka, dialogów i całości ujęcia tematu; są bowiem regiony historii tak od nas oddalone, że próby zastosowania realizmu są bezskuteczne, bezsilne i nieaktowne, wywołując raczej niepożądany efekt komiczny.

Jeśli chodzi o zgodność wielkich zarysów jego obrazu z danymi historii i archeologii, to strona ta, podnoszona z pochwałą przez współczesną mu krytykę historyczną (Bobrzyński w „Księdze Jubileuszowej” w 1880 roku, teraz właśnie w związku z ostatnimi wznowieniami „Starej Baśni”, doczekała się rewizji z wytknięciem licznych błędów przez znakomitego prehistoryka, bliźszego rodaka Popielów, prof. J. Kostrzewskiego (w „Przeglądzie Wielkopolskim” Nr 1 z r. b). W ramach krótkiej recenzji, J. Sieradzki („Odrodzenie” Nr 12) słusznie wskazuje prócz tego mnogie fantazje autora „Starej Baśni” w zakresie mitologii słowiańskiej, ulubionego pola popisów wynalazczości wszystkich (od najdawniejszych poczynając) piszących o przeszłości naszych, wynalazczości tej zresztą i wspomniane, z tej sposobności dzieło naukowe K. Potkańskiego, jak sądzę nie ukroci; ona tylko może zastąpić prawie zupełnie brak pozytywnych danych o systemie wierzeń Polan poganińskich.

Obaj wymienieni najnowsi krytycy „Starej Baśni” w konkluzji swych uwag wypowiadają się zresztą dla niej przychylnie, nawet z wielkimi pochwałami. Istotnie, wytknięte błędy, ze względu na podręczną rolę dzieł naukowych, w których popelnione, w kompozycji powieści a zwłaszcza ze względu na nieznaną imość i obcość tych dziedzin dla większości nawet wykształconych czytelników nie wpływają poważnie na recepcję artystyczną powieści ani nawet na poznać jej rolę jako plastycznej rekonstrukcji przeddziejowego stanu społeczeństwa i kultury Polan. Przykrejsze może, ze względu na sugestywność szaty językowej, są potknięcia się lingwistyczne Kraszewskiego w nielicznych jego próbach rekonstrukcji prapolszczyzny z mającym dość szeroką wziętość w końcu ub. w. pod wpływem „Starej Baśni” „kneziem” na czele; dopiero Żeromski w „Powieści o Udalym Walgierzcu” wprowadził do literatury prawidłową przypuszczalnie dla naszego wcześniejszego średniowiecza formę tego zapożyczenia od Germanów (Skandynawów?) „koniad” (może lepiej byłoby „kniad”, por. „ksiad” i ruskie „kniad”, z „jusem”, oraz inną parę „kniaga” — „księga”, dowodzącą, że zastąpienie n przez s nastąpiło już w czasach chrześcijańskich, gdy książka stała się przedmiotem wyobrażeń powszechnych nie wcześniej więc niż na progu XIII wieku). Inicjatywa Żeromskiego nie miała jednak większego powodzenia, skoro nawet jego adorator ka pisze dziś w kontekście mowy stylizowanej na polszczyznę XI w. „Księżę Władysław” zapominając o stwierdzonych historycznie i b. późno, bo przez Kochanowskiego jeszcze

używanych formach „ksiad” w znaczeniu władcy i „Włodzisław”.

Mimo wszystko jednak, pomimo dodatniego wyniku porównania sumiennosci i staranności Kraszewskiego w zakresie naukowego rusztowania jego rekonstrukcji „Polski bajecznej” ze stosunkami panującymi w dzisiejszej beletrystyce naszej, pomimo wybaczalności jego pomyłek, np. lingwistycznych popelnionych w czasach niemowlęcych językoznawstwa polskiego*), nie można nie stwierdzić, że i znaczenie poznawcze „Starej Baśni” podobnie jak jej wartość artystyczna nie jest równe temu, co znajdujemy w jego powieściopisarstwie obyczajowym, w niezastąpionym, szerokim, szczegółowym i wiernym obrazie rzeczywistości polskiej z jej przemianami na przestrzeni całego stulecia od czasów Stanisławowskich po lata gdy ze słabnących rąk wielkiego pracownika kultury polskiej, przejmując jej zwierciadło „powieść pozytywistyczna” w momencie najwyższego rozkwitu talentu jej największych przedstawicieli: dopiero w osobach twórców „Trylogii”, „Płocówki”, „Nad Niemnem” powieść polska staje się godną kontynuacją dzieła życiowego Kraszewskiego. W najbliższym czasie będziemy obchodzić stulecie urodzin wspomnianych przed chwilą pisarzy niewątpliwie bardzo uroczyste, podczas gdy ich poprzednik bezpośredni, ba, co tu mówić, prawy rodzic, pozostaje w zapomnieniu, zaniedbany przez krytykę i przez wydawców. Właśnie nadmierna pamięć o „Starej Baśni” jest wyjątkiem potwierdzającym sprzeczne z nim prawidło.

Na pytanie zadane na wstępie tych uwag: czy „Stara Baśń” jest arcydziełem? — po zastanowieniu się, nawet biorąc pod uwagę szereg szczerze poetycznych jej stron, trzeba odpowiedzieć przeczeniem. Ani jako powieść, utwór literatury pięknej, ani jako rekonstrukcja pradziejów Polski nie jest ona bez stron słabych. Kraszewski wznowiany od pół wieku prawie wyłącznie swym powieściopisarstwem, historycznym, specjalnie „Cyklem historycznym”, ceniony wyłącznie jako pomocnicze narzędzie dydaktyki historii, w tym charakterze polecany jako lektura szkolna — zagradza drogę innemu Kraszewskiemu, jednemu z największych fenomenów literatury polskiej, jednemu z największych jeśli nie największemu jej powieściopisarzowi. Zanudzony słabymi powieściami historycznymi w latach szkolnych, dorósłszy, z niedowierzaniem będzie słuchał jako wydawca o skarbach artystycznych, o znakomitych osiągnięciach realizmu powieściowego, ukrytych w nigdy nie wznowianych, nigdy nie omawianych, przemilczanych w chwili ukazania się utworach Kraszewskiego. Nie wie my ile sensacji jakby przygotowanych dla dzisiejszego czytelnika, sensacyjnych powieści, kryją te starsze wiekowe książki!

Muszę wreszcie zdradzić podstęp, który kryje się w tych przydługich rozważaniach. Są one tylko sposobem przemycenia bezpłatnego inseratu następującej treści:

Firma wydawnicza refleksująca na wydanie dwudziestu powieści Kraszewskiego, w wyborze z objaśnieniami i studiami kompetentnego krytyka literackiego (z gwarancją finansowego powodzenia imprezy), zechce zgłosić ofertę pod adresem redakcji „Książki” na niżej podpisane nazwisko.

K. W. Zawodziński.

*) Na epokę powstawania „Starej Baśni” przypadają początki działalności naukowej Jana Baudouina de Courtenay, Czwierć wieku później stoi on u szczytu sławy: Brückner, Łoś, Rozwadowski stanowią wraz z nim poważny zastęp lingwistów, którymi około 1900 roku zaczęły się nauka polska. Mimo to, właśnie w 1900 roku, w wysoko stojącym „Tyg. II.” Julian Ochrowski, również jeden z poważnych przedstawicieli humanistyki polskiej, drukując studium „Słowianie i Germanie” daje etymologiczne słowa „Książ” godną „Nowych Aten” księdra Chmielowskiego. „Ku sądowi”, niby że zupełnie niepokrewnie słowo „ksiad”.

ZOFIA KAMENIECKA

Jak powstańcy odbili więźniów z Pawiaka i „Gęsiówki“

Mało kto wie o pewnym epizodzie powstania warszawskiego, który nam, jego uczestnikom, wydawał się „happy endem“ jakiegoś nierealnej powieści.

Jak wiadomo 30 lipca 1944 r. Niemcy ewakuowali Pawiak. Transport omiatał niewielką grupę więźniów i więźniarek. Na Serbii pozostała cała matek, parę kobiet ciężarnych, lekarzy i szwalni; na Pawiaku — lekarzy i warsztaty.

Kim byli więźniowie ze szwalni i warsztatów?

Późną jesienią 1943 r. z Pawiaka i Serbii odjeżdżał do obozów koncentracyjnych Niemiec olbrzymi transport kobiet i mężczyzn. W transporcie pojechali również t. zw. funkcyjni: mechanicy, ślusarze, stolarze, elektrotechnicy wreszcie krawcowe i szwaczki. Wówczas na miejsce ruchomego, podlegającego rozmaitym wyrokom personelu „aryjskiego“ zatrudniono w warsztatach mężczyzn i kobiety, wyjęte z żydowskich cel śmierci. Byli to ludzie, których nazwiska nie figurowały w żadnej kartotece. Byli pożyteczni od śmierci i tylko ona mogła nimi dysponować. Zgłosili się po nich, gdy termin pożyczki upływał, gdy przestaną być potrzebni.

Jeden z tragicznych konfliktów ludzi w obozach i więzieniach polegał na tym, że wyekwirowany dzień hitlerowskiej klęski według uzasadnionych przypuszczeń, będzie jednocześnie momentem likwidacji obozu czy więzienia. W lipcu 1944 r. dzień wyzwolenia zdawał się być bliski. Czuł się więźniów wychwytywały podczas bezsenności, niespokojnych nocy odgłosy zbliżającego się od wschodu frontu. W okresie tym, pozbawiony logiki, fantastyczny optymizm więźniów w każdym wystrzale i w każdej detonacji chciał widzieć „odbijanie Pawiaka“, rewolucję, powstanie.

Optymizm ten zresztą był potrzebny. Nawet fantastyczna plotka, która jako „pewna wiadomość“ z wolności nie wiedzieć jak i skąd, przez szpary żelaznych, więziennych drzwi, przez otwór jadalni, przez zakratowane okna ko potrafiła wślizgnąć się jednak do wnętrza cel, nie dodawała otuchy i jak trudno byłoby bez niej przetrwać!

Na Pawiaku zjechało lubelskie gestapo i horda dzikich ukraińców z ewakuowanych więźniów i obozów lubelskich. Byli „pomocni“ w organizowaniu ostatniego transportu. Pijane żołdactwo kolbami i wyciem wypędzało więźniów z cel. Ostatni transport nie był wcale podobny do poprzednich. Pośpiech i zdenerwowanie kazały systematycznym, zakochanym w porządku Niemcom chwycić się innych metod; metod, które wyzwały z normalnych napaści, cywilizowanych ludzi ich zbrodnicze, wyrafinowane sadystyczne instynkty.

Nazajutrz transport odjechał. Dla tych, którzy zostali nastąpił dzień dzwiny i niepokojący. Porozastawiono nam oszalającą jak na dotychczasowy rygor więzienny, swobodę. Pozwolono kłócić się po wszystkich korytarzach, podwórkach i budynkach więziennych. Tego dnia uciekło z Pawiaka kanałem 18-tu więźniów. Resztę zamknięto znowu do cel. Jeszcze jedna noc w opustoszałym więzieniu. Prawie nikt nie miał wątpliwości, że ostatnia. Wczo-raz uciekła 18-tu była doskonałym pretekstem. Odpowiedzialność zbiorowa jest w obozach i więzieniach prawem. Niemcy w swojej „praworządności“ chętnie szukali pretekstów, częściej jeszcze je prowokowali. Nazajutrz oznajmiono, że będzie jeszcze jeden transport. Kazano się ustawiać. Kobiety prosiły o parę minut na spakowanie rzeczy. „Rzeczy są niepotrzebne — w obozie dostaniecie inne“. Nie trzeba było jasniejszej odpowiedzi. Grupa kobiet poprowadzono przez dziedziniec więzienny. Towarzyszyły jej smutne spojrzenia strażników. Polek, tych samych, które niejednemu przynosiły grypę z wolności od dzieci, mężów, przyjaciół i rodzin. One również nie miały wątpliwości. „Pozdrowicie od nas wolność“ — rzuciła w przejściu jedna z prowadzonych kobiet z patetyczną rezygnacją. W bramie więzienia czekali mężczyźni. Czekał również w białych rękawiczkach obersturmführer Albers — kat Pawiaka wraz z resztą załogi gestapo. Ledwo mogliśmy poznać spod głęboko nasuniętych żelaznych hełmów ich dobrze nam znane twarze. Szliśmy gruzami ghetta. Intuicją raczej niż kojarzeniem podobieństw orientowaliśmy się w kierunku. Szliśmy prawdopodobnie Dzielnią do Zamenhofa i Gęsi. Z okien naszej celi widywaliśmy prawie codziennie wychudłą szkapinę, wiozącą tą samą trasą drzewo i banki z benzyny. Na Zamenhofa było miejsce rozwałek. Na Zamenhofa było również krematorium. Do niego wozila codziennie belki i benzynę wychudła szkapina. Wreszcie wprowadzono nas na wielki plac. Znowu zatrzasnęła się ciężka, żelazna brama.

Ustawiono nas równutko, czwórkami, w odstępach. W pewnym momencie padł rozkaz: „W tył zwrot“. Czekaliśmy na salwę karabinów maszynowych. Zamiast niej długa, długa chwila ciszy. I nagle: „Rozjeść się“. Znaleźliśmy się na olbrzymim dziedzińcu obozu koncentracyjnego — t. zw. „Gęsiówki“. Aż do następnego rozkazu mieliśmy tutaj pozostać. Dali pasiaków, mężczyznom — przez środek głowy wygolili dwucentymetrowy pasek włosów.

Umieszczono nas, oddzielnie mężczyzn i kobiety, w odróżnionych poprzednio barakach, dookoła w bliźniaczo podobnych mieszkalniach więźniowie z Grecji, Węgry i Francji. Byli pierwsze dni sierpnia. Na miesiąc, to już nie chora wyobraźnia więźniów, tym razem na pewno musiało się coś dziać. W nocy widzieliśmy nad miastem luny pożarów, w dzień wydawało się, że kule przeleciały koło uszu.

Więźniom — Niemcom, którzy dotychczas w obozie pełnili funkcję „capo“ rozdano mundu-

ry i broń. Kazano bronić obozu. Trudno się było zorientować, co się właściwie dzieje. Aż któregoś dnia podpatrzyliśmy, że załoga niemiecka obozu szyje sobie białe — czerwone opaski. Kiedy indziej jeden z żołnierzy przyniósł do baraku dokumenty młodego chłopca, który poległ w bitwie. Sytuacja wyjaśniła się: W Warszawie powstanie.

Detonacje i luny pożarów były coraz bliższe. Nie było mowy o rozbiieraniu się do snu... Kładliśmy się w ubranii na przyczach. Z powierzchni, nerwowej drzemki budziły nas co chwila huk i dział. Pewnego dnia hałas stał się potworny, a trzępiętrowe przyce chwiały się od wstrząsów wraz z całym barakiem. Przyskoczyliśmy na podłogę. Nagle w oknach baraku stanął żołnierz. Nosił niemiecki płaszcz w zielono-brązowe ochronne plamy. To nie był żołnierz niemiecki. To był polski powstańca. Na wyjaśnienia nie było czasu. „Biec szybko naprzód“ padł krótki rozkaz.

Biec naprzód można było tylko przez baraki, na skrzydłach bowiem stali Niemcy. Trzeba było wlatywać przez drzwi i wyskakiwać okna mi. Przed nami i za nami biegły już tysiące pasiaków. Okna w barakach były zakratowane drutem kolczastym. Na kolcach żelaznych zostawały strzępy białoniebieskiego sukna. Przed

nami wciąż nowe i nowe budynki, wokoło syczały pociski. Wreszcie zadyszaliśmy, bez tchu dobiegliśmy do miejsca dostatecznie oddalonego od bitwy.

Były to zresztą wciąż jeszcze tereny Gęsiówki.

Niemcy w swoim „gigantycznym planie tyśleciennego panowania“ nie zapomnieli o rozbudowie koncentracyjnych obozów.

Zatrzymaliśmy się właśnie w „nowej dzielnicy“ obozu, w świeżo wybudowanych, niewykończonych barakach. Na których znać było wczoraj czy przedwczoraj porzuconą robotę cieśli i stolarzy. Coraz nowe fale więźniów przybywały do mety. Francuzi i Węgrzy, Polacy i Grecy rzucali się sobie na szyję. Byli wolni.

Powstańcy, otoczeni wkrąg, opowiadali.

To były pierwsze dni szalonego entuzjazmu i niezawiedzonej jeszcze nadziei. Opowiadali o swoich sukcesach. Opowiadali, że Czerwona Armia jest już na Pradze. Nie spodziewali się uwolnić takiej masy więźniów.

O „Gęsiówce“ wiedzieli, ale nie przypuszczali, że dotychczas jeszcze nie jest wywiezioną. Więźniów z Pawiaka najmniej spodziewali się spotkać.

Pytaniom nie było końca.

Sprawozdania Polskiej Akademii Umiejętności

Dwa ostatnie zeszyty tych sprawozdań (z lipca — września i października 1945, N 7 i 8, tom XLVI) przegląda się w dużym podnieceniu. Tytuły streszczeń rozpraw przedstawiających na posiedzeniach P. A. U. — są prawdziwie frapujące. To co dyskwalifikowało naszą humanistykę: kronikarskie gromadzenie faktów, pozanaukowe opisy jednostkowych, niepowtarzalnych faktów, zaniedbanie wszelkich koncepcji teoretycznych służących racjonalnemu wyjaśnieniu rzeczywistości — w świecie tych tytułów wydaje się być przewyższonym. Mamy bowiem: „teorię badania archeologicznego“, „próbę systematyki metod badania literackiego“, „metode określenia faz krytycznych w wyczerpaniu rezerw ludzkich w wojnach totalnych“, i „nową naukę o literaturze“, i pracę „o poetyce“, i jak zawsze sporo teoretycznych rozważań językoznawczych, a nawet samodzielne opracowanie „nowej metafizyki“.

Niestety wyczytanie się w tekst przynosi rozczarowanie. Wszak, są to wypadki w dziedzinie teorii, ale nie wszystkie udane.

Przed wszystkim — zajmijmy się próbami teorii literatury. Jest to dziedzina szczególnie obciążona fałszywymi tradycjami przeszłości. Łatwiej tu niż w archeologii czy etnologii zatrzeć granicę między nauką, a nieodpowiedzialną publicystyką. Z tej dziedziny mamy: R. Ingardena „O poetyce“, T. Grabowskiego „Nowa nauka o literaturze“, St. Adamczewskiego „Próba systematyki metod badania literackiego“ i raczej historyczną pracę W. Borowego „Ze studiów nad literaturą XVIII w. Konstancja Beniśawska“. O koncepcji Ingardena trudno jest coś powiedzieć, zbyt lapidarnie zreferowana w „Sprawozdaniach“ — musi być traktowana jak notatka bibliograficzna. Prace Adamczewskiego i Grabowskiego łączą wspólny rys: niedostateczne uświadomienie założeń ogólnej koncepcji teorii nauki w ogóle, na których opierają się wszelkie rozważania metodologiczne dotyczące jakiegokolwiek szczegółowej dyscypliny. Na dnie tych dwóch prac mamy nieprzemyślaną konwencjonalistyczną interpretację nauki w ogóle. Dla obu naszych autorów (to mówią impli-tycznie) nauka — to zespół metod i konstrukcji pojęciowych, które porządkują chaos przeżywaną rzeczywistość, pozwalają wydzielić z niej „powołanie“ niejako poszczególne przedmioty badania naukowego. Metody badania literackiego konstytuują przedmiot badań literackich jako swoisty zespół zagadnień wyczerpujących wszystkie możliwe punkty widzenia, wszystkie możliwe postawy społeczne człowieka przeżywającego literaturę. Podmiot poznający, podmiot przeżywający jest demitologizacją twórcą naukowego świata.

Tendencja pracy Adamczewskiego (explicit-tycznie wyrażona) jest „przeciwstawienie się ograniczenia przedmiotu badań literackich do samego tylko dzieła i redukowaniu uprawniających metod badawczych... oraz przeciwny jest tendencji odstępowania zawodowym i socjologicznym i psychologicznym zagadnieniom socjologiczno-literackich i psychologiczno-literackich...“

Teza zaś dość chaotycznego referatu Grabowskiego jest równoprawnie wynikiem różnych szkół teoretycznych humanistyki ostatnich 50 lat — jako obiektywnych osiągnięć nauki, i tak wedle Grabowskiego literaturyzm jest współczesne rozumienie dzieła jako „uzewnętrznienie typowego duchowego nastroju, jako całość o charakterze organicznym, jako sens nadempiryczny, nadekspresyjny, wieczny w narodzie, rasie, w człowieku“. Przy tym „działa energii psychiczne istnieją od wieków i poza twórcami udzielając się jako system wartości następnym generacjom“.

Mamy tu nie ścisłe i niedbałe sformułowanie „Diltheyowskiej koncepcji teorii rzeczywistości humanistycznej, a więc i literackiej“. Bo tu dla Grabowskiego dyskusja na interesujący nas temat zamyka się w kręgu pisarzy, którzy właściwie należą do pokolenia lat 1900, jak Dilthey, Croce, Vossler, Gundolf, Simmel. Dla Grabowskiego ci pisarze ostatecznie rozstrzygnęli sprawę „duchowego“, dostępnego tylko „rozumieniu“, interpretacji „sensu“ — charakteru rzeczywistości humanistycznej.

Osiągnięcia następnych pokoleń badaczy, sformułowanie metody socjologicznej i lingwistycznej analizy dzieł literackich — to dla Grabowskiego podobnie jak i dla Adamczewskiego tylko sprawa swobodnie dobranych „chwy-tych“ porządkujących dla celów praktycznych, że dostępna w pełni tylko bezpośrednim przeżyciom rzeczywistość „duchową“.

To są zasadnicze nieporozumienia. Istotą dyskusji wśród literaturyzmów po roku 1920 były kwestie ontologiczne — a nie teoriopoznawcze. Panująca konwencjonalistyczna teoria nauki w ogóle wysuwała na plan pierwszy sprawę metod, usuwając w cień sprawę cech i charakteru badanej rzeczywistości. Te sugestie przenosił na nas autorowie na problemy literaturyzmu.

W ostatnich latach nie byliśmy świadkami ani doktrynerskiego ograniczania metod badań faktów literackich, ani jałowej zgody na przyjmowanie wyróżniających cech tych faktów w duchu idealistycznych koncepcji Dilthey-Croce. Dyskusja nie dotyczyła metod w oderwaniu od przedmiotu, od rzeczywistości, od faktów literackich. A właśnie była próba określenia cech wyróżniających, empirycznie sprawdzalnych faktów literackich. Stawiano sobie pytanie czym jest dzieło literackie — czy rzeczywiście istnieje tylko w sferze „ducha“, czy istnieje w wyobrażeniach (twórcy? odbiorcy? indywidualnych? zbiorowych?) i t. d. Jeśli już można mówić o wynikach tej dyskusji — to chyba, że dzieło literackie jest swoistym faktem językowym, że istnieje w społecznej rzeczywistości: językowej. I dopiero to stanowisko ontologiczne pozwalało uporządkować sprawę metod badawczych. I to nie tak jak chce Grabowski i Adamczewski jako istniejących obok siebie, równoprawnych, nie uhierarchizowanych, ale przeciwnie w hierarchicznym porządku wiedza o literaturze musi być najpierw zbiorem sądów językoznawczych wyjaśniających strukturę i wewnętrzne prawo dźwięku tego językowego faktu jakim jest dzieło literackie. Z kolei rzeczy dopiero można przejść do ustalenia związków między tymi faktami językowymi a ich uwarunkowaniem społecznym, lub wreszcie towarzyszącymi im procesami psychicznymi twórców lub odbiorców. Związki ten ostatni zespół zagadnień wymaga dużej świadomości ontologicznej, trzeba dobrze wiedzieć czy przy analizie literackiej chcemy ustalić jakąś prawidłową współzależność między społecznym faktem językowym — a towarzyszącymi mu procesami psychicznymi w świadomości twórcy czy odbiorcy, czy też tę zależność ustalimy między jakoś inaczej (niepospolenie, niejęzykowo) istniejącymi i pojmowanymi faktami a wzmiarkowanymi procesami psychicznymi.

Jest to ważna dziedzina badań, bo wyjaśnia nam tajemnice i warunki twórczości. Ale też dlatego nie może być uprawiana niechlujnie, bez dostatecznych sprawdzianów czy związki które ustalamy istnieją empirycznie, czy tylko tak nam się wydaje. A trzeba wiedzieć między innymi jakimi klasami zjawisk ustala się związki, jeśli chcemy się sprawdzić czy występują istotnie. Konkludując szkoda, że nasi uczeni tak słabo znają rozwój wiedzy o literaturze ostatnich lat i tak opacznie pojmują jego problematykę. W ich bowiem ujęciu wszystko co jest ciągle nierozwiązane, problematyczne — daje się rozwiązać metodą wyrzeczenia się wyboru, rozwiązania, drogą uznania wszystkich stanowisk obok siebie. A to jest tylko nieporozumienie hamujące postęp nauki.

Najwięcej miejsca — jak należy w piśmie literackim — poświęćmy sprawom literatury. Może niesprawiedliwie. Inne bowiem prace przyniosła o wiele pozytywniejsze wyniki. Przede wszystkim językoznawcy. Omawiane zeszyty zawierają relacje o pracach: T. Milewskiego „Kategoria rodzaju gramatycznego“, Z. Klemensiewicza „Charakterystyka języka osobniczego“, R. Stopy: „O funkcje normatywna językoznawstwa“ i M. Dłuskiej: „Polski sylabizm ścisły w świetle cech 13-zgłoskowych“.

Prace Milewskiego i Stopy mają charakter do tyłu specjalny, że nadają się tylko do dłuższej dyskusji w piśmie fachowym.

Charakterystycznym natomiast nieporozu-

Oddział powstańców, który odbił „Gęsiówkę“ od kilku już dni był się bez przerwy.

Chłopcy byli pomęczeni, brudni, obrośnięci. Znalazł się fryzjer Francuz i madyjski goli-broda. Znalazł się również Grek — muzykant, który nie zapomniał o swojej mandolinie — szybko nauczył się melodii polskiego hymnu. Grał a oczy świeciły mu szczęściem. Francuzi śpiewali Marsyliankę, Węgrzy swoje ogniste czardasze, powstańcy polscy — partyzanckie piosenki. To był obraz wzruszający i symboliczny.

Czekały nas jeszcze ciężkie i groźne dni.

Wielu zginęło wkrótce w walkach powstańczych, w które rzucił się z brawurą odwagą, wyzwalając nagromadzony potencjał niewolności i wyszukując okazji marzonego odwetu. Wielu, po upadku powstania, dostało się znowu w ręce zniechęconego wroga.

Najtragiczniejszy był los cudzoziemców. Nie znali języka i nie mieli możliwości przebrania się w cywilne ubrania.

Po upadku starówki, najdalejszego punktu ich ucieczki, widzieli się często grupki tych nieszczęśliwych ludzi, którzy zasnali kilka dni wolności w walczym się i płonącym mieście, po to aby znowu iść pod eskortą esesmanów — nie tych samych, ale przecież takich samych. Wszystkie te jednak późniejsze, ponure wspomnienia nie zdołają zatrzeć w pamięci owej chwili z tysiąca i jednej nocy, chwili cudownego ocalenia.

mieniem i ważnym dla badacza literatury jest praca Klemensiewicza. Określa on język osobniczy, a więc i język np. pisarza utracony w jego książkach, jako „ulamek języka zbiorowego przechowywany w świadomości osobniczej w postaci psychicznych przedmiotów. Ponadto można dopatrywać się w języku osobniczym systemu norm fonologicznych, syntaktycznych i leksykalnych, będącego znowu wynikiem takiego systemu norm w języku zbiorowym...“

Postulaty badawcze autora w stosunku do tak pojętego języka osobniczego mówią o jakimś spóźnionym idiograficznie przeniesionym z badań literackich do językowych.

Pojmując bowiem osobniczą rzeczywistość językową jako świat pewnych przedstawień zamkniętych w psychice jednostkowej — autor wysuwa jako podstawowy i właściwy jedynie teoretyczny problem — wyróżnienie co się da uznać za „przypadek“ zasób przedstawień językowych jednostki, co zaś za zasób przedstawień nabytych tj. takich, którym przychylnie da się przyporządkować takie przebiegi psychiczne jednostkowa jak celowe poszukiwania, świadoma uwaga językowa itd. W ten sposób badania stylistyczne — te bowiem dotyczą języka osobniczego — ograniczyłyby się wedle Klemensiewicza do praktycznie przydatnego opisu zasobu przedstawień językowych jednostki i teoretycznego wyjaśnienia już właściwej problematyki psychologicznej.

A gdzie najważniejsza dla badań literackich problematyka teoretyczno-literacka? Gdzie wykrywanie prawidłowych zależności nie między przedstawieniami psychiki osobniczej, ale między językowymi elementami struktury artystyczno-językowej dzieła jako swoistego faktu kulturowego, o określonych genetycznych związkach z podłożem społecznym i określonej społecznej funkcji?

Tylko gdy pojmujemy i język osobniczy jako składnik rzeczywistości społecznej — a nie jako złożony fakt psychologiczny możemy sensownie stawiać i rozwiązywać podstawowe problemy stylistyki: stylu — także indywidualnego — jako wyrazu społecznej ideologii. A zatem faktu kulturowego możliwego do przyczynowego wyprowadzenia z innych faktów kulturowych. Na gruncie zaś psychiki indywidualnej — jako jedynej rzeczywistości humanistycznej od razu zjawiają się jak i u Klemensiewicza mistyczne koncepcje „przypadek“ właściwości czyli „darów łaski bożej“, irracjonalnych, niepojętych.

Nowy fragment pracy Dłuskiej o wierszu jak zawsze świetny. Charakterystyka naszego sylabizmu ścisłego jest pełna, jasna i teoretycznie i historycznie przekonująca. Autorka analizuje dwa typy sylabowca — staropolski intonacyjny — rymowy i nowszy (XIX w.) rymowo — akcentowy. W charakterystyce tej najważniejszym jest to, że wyróżnione cechy mimo, że dotyczą faktów artystycznych i kulturowych są intersubiektywnie sprawdzalne, nie odnoszą się do metnego odczucia czy „rozumienia sensu“ faktu humanistycznego — (tutaj wiersza) — ale stanowią empirycznie uchwytne elementy rzeczywistości językowej. Dadzą się wyróżnić tak jak każdy inny element systemu językowego, jak słowo, forma gramatyczna, jak wszystkie inne elementy różniące znaczenie w danym systemie językowym, dające się stwierdzić w zmysłowo uchwytym procesie mówienia i społecznego porozumiewania się.

Prace historyków i historyków sztuki w referowanych tomkach mają charakter raczej przyczynarski. Szerzej pomyślana synteza Wł. Konopczyńskiego: „Przyjańni narodów w świetle historii“ — daje nam niestety bardzo osobiste rezultaty praktycznej mądrości życiowej — zamiast sądów naukowych t. zn. metodycznie uzasadnionych.

Zas St. Dąbrowskiego: „Metoda określenia „az krytycznych w wyczerpaniu rezerw ludzkich w wojnach totalnych“ — po prostu stwierdza, że można odliczyć na wiele lat starszy żołnierz przy znanych przeciętnych stratach wojennych i przy znanych zasobach ludzkich.

RYSZARD MATUSZEWSKI

Powieść o wielkiej iluzji

W jednej z anegdot, w które obfituje świetna powieść Stanisława Dygata p. t. „Jezioro Bodeńskie”, główny bohater opowiada, jak kiedyś, będąc uczniem, został wyrzucony za drzwi z lekcji religii przez szkolnego prefekta za t. zw. „zadawanie głupich pytań”. Przypominając sobie to zdarzenie, bohater kwestionuje sens postępków księdza nie tylko w drodze bezpośredniej pretensji, umotywowanej psychologicznie („...żaden prze-wrażliwiony pedagog w sutannie nie domyśla się nawet, ile w tych pytaniach kryje się prawdziwego niepokoju i ciekawości, skrywanych złośliwością przez wstyd wobec kolegów, z jakich panicznych lęków nocnych rodzą się one i z jakich zamysłów przy zabawie”), ale także przez świadectwo sądu innego pedagoga, dyrektora gimnazjum, który to sąd maluje w sposób następujący:

„Gdy wyleciałem wtedy za drzwi, spotkał mnie na korytarzu dyrektor. Zadrżałem ze strachu, bo przypomniałem sobie jak raz, spotkawszy mnie tak samo wyrzuconego z arytmetyki, ostro mnie ukarał. Dyrektor spoj-rzał na mnie groźnie i zapytał: „Czemu nie jesteś w klasie?” „Wyleciałem za drzwi” — odparłem cicho ze spuszczoną głową. „Ach, wyleciałeś za drzwi?” — rzekł tak ostro, że drżącemu w spokoju ścianą zadrżały niepewnie — „Chodź ze mną do kancelarii”. Ruszył naprzód, ja za nim, i spytał jeszcze: „Za co wyleciałeś za drzwi?” „Za zadawanie głupich pytań księdza prefekta”. Dyrektor zatrzymał się i jakby oczy mu zlagodniały. „No — rzekł ciszej — poco zadajesz głupie pytania? Nie trzeba, nie trzeba tego. Idź już, zaraz będzie dzwonek. No, no, ale głupich pytań nie trzeba zadawać”. Odwrócił się i odszedł, zdawało mi się, że westchnął i machnął ręką; rzekł też jeszcze, ale zupełnie jakby do siebie: „Nie, nie, nie. Nie trzeba... Najlepiej wcale...” Nie ukarał mnie też, choć wtedy gdy wyleciałem z arytmetyki był taki surowy”.

Zdawało się, że sprawa jest wyzerpana. Wiemy o co chodzi, i wiemy jaką postawę zajmuje utożsamiony z autorem bohater. Otóż nie podobno. Zaraz dalej następuje krótkie, zupełnie niewinne zdanie, stawiające pod znakiem zapytania cały wywód i cały obraz. O ile do tej chwili anegdota opowiedziana była w sposób ściśle realistyczno-psychologiczny i nie budzący wątpliwości, ani co do słuszności postawy bohatera, ani co do niedopowiedzianych intencji koronnego świadka oskarżenia systemów wychowawczych prefekta, jakim jest dyrektor, o tyle teraz nagle wszystko się wywraca. Czytamy:

„Ten dyrektor zresztą niedługo potem utopił się w studni, do której wleciał, przechyliwszy się zbyt, gdy na jakiejś wycieczce chciał zaczerpnąć wody”.

I koniec. Jak powiada Gombrowicz w zakończeniu swej powieści „Ferdydurke”: „Koniec i bomba, a kto czytał, ten trąba”.

Cały problem psychologiczno-moralny od-malowany zrazu z powagą zaangażowanego w nim uczestnika potem z realizmem pozor-nie niezaangażowanego lecz bystro obserwu-jącego widza zostaje naraz unicestwiony jak przekłuty szpilką balon. W jednym zdaniu ośmieszony jest i dyrektor, którego tragiczna śmierć w tym kontekście budzi tylko uśmiech, i przede wszystkim sam bohater, bo jego koń-cowa uwaga jest nie o prośbę i każe zwątpić w powagę jego ustosunkowania do całego za-gadnienia. Czy oznacza to, że z opowiadania obronną ręką wychodzi książka? Także nie. Wi-dooczny staje się jednak wysiłek rozbrojenia atmosfery nalaadowanej problemem przez na-gły zwrot ku grotesce, godzącej nie w to, co było przedmiotem naszego ataku, ale przeciwnie, w to, co było główną jego podstawą. Na przestrzeni całej książki Dygata metoda arty-styczna, której mechanizm przedstawiliśmy na przytoczonym przykładzie, stosowana jest z niewielkimi zmianami jako reguła.

„Jezioro Bodeńskie” jest powieścią opartą na przeżyciach internowanego w hitlerowskim obozie dla obywateli francuskich i angielskich, między innymi wywiezionych z Polski, do których należy także autor, a właściwie stworzo-na przez postać głównego bohatera.

Obóz nad jeziorem Bodeńskim ma dla nas, Polaków, w szczególności charakter wyjąt-kowy, nie typowy, co stwarza od razu dla fikcji powieściowej Dygata bardzo specjalną atmo-sferę.

Stanisław Dygat. Jezioro Bodeńskie. Wyd. Spółd. „Wiedza”, W-wa 1946, str. 290. „Dziwna to była niewola — pisał on w pier-wszych słowach swej książki — zupełnie róż-na od owej niewoli męskiej, pełnej powagi, gdzie wojenne trudy otrzymują w zagrodzo-nym drutem kołczastym terenie — od nieprzy-jaciela pełna satysfakcję za cnoty męstwa, a palmę męczeństwa od rodaków”.

W jej ramach powstaje twór, który, choć osnut na autentycznym materiale, nie daje się w żaden sposób podciągnąć pod kategorię jakichkolwiek „autentyków” obozowo-wojen-nych, jest skończonym, zamkniętym i wyzo-lowanym obrazem artystycznym, gdzie obóz i niewola stają się jedynie pretekstem dla ukaza-nia przekroju pewnego spojrzenia na świat i określonego modelu człowieka.

Autor czyni w pewnym miejscu dłuższą uwagę, że niewola jest „zdarzeniem i to zda-rzeniem niezwykłym...”, którego treścią jest brak zdarzeń. Tę pustkę zaludnia w sposób godzien podziwu opowiadaniem, w którym nie słabnie napięcie dramatyczne — psychologicz-ne, i w którym odnajdujemy, poza morzem iskrzących się szczegółów, epizodów i anegdot, również pewien jak gdyby wątek zasadniczy, sprawę, która jest, jak widać dla Dygata sprawą główną, zagadnienie, że oto tutaj, w tej międzynarodowej zbieralni obozowej, w

niemieckim miasteczku u podnóża Alp, jest on Polakiem, reprezentuje polskość, do której mimo formalno-pasportowych powikłań cał-kowicie przynależy.

Proces moralno-obejzajowy, wytoczony przy tej okazji przez autora rozmaitym for-mom owego poczucia polskości łączy się przy-tym z równoległymi procesami wytoczonymi innym narodowościom: przede wszystkim Fran-cji, z którą autor — bohater czuje się szcze-gólnie związany. Sylwetki Francuzów, Angli-ków, pół-Francuzów i pół-Anglików, Polaków i Niemców defilują przed nami ukazując ob-nażony mechanizm działania swych cech ludz-kich, ujawniający zarazem ich charaktery-styczne zsyntetyzowane właściwości narodowe. W jaki sposób te procesy narodowościowo-psy-chologiczne odbywają się, dostrzamy łatwo je-żeli zastosujemy do nich klucz, jaki dała nam analiza anegdoty o księdzu.

Są one zresztą ukryte i rozparcelowane po-miedzy te same, które tam wyróżniliśmy, trzy czynniki: wykład pewnej postawy zasadniczej, realizm szczegółów, zacieraający kontury jedne-go i drugiego grotesku, godzący nie w to, co jednocześnie jest lub było przedmiotem nie-nawistnej krytyki, nęchący lub wstrętu, lecz co w zasadzie jest nam bliskie, pociągające nas i wiążące.

W znanym ze szpalt „Odrodzenia” fragmen-cie, w którym główny bohater powieści wygla-sza towarzyskom w obozie odczyt o Polsce, autor z widoczną drwiną maluje tło: przygo-towania i przebieg prelekcji, w której za-miast rzeczowych informacji odnajdujemy komiczną parodię obrazu Polski mesjanis-tycznej, przeplatana poetyckim fantazjowa-niem na tematy ludowe. Później okazuje się, że w pozornym mesjanizmie i fantazjowaniu tkwi zdrowe ziarno prawdy przez duże P, któ-rej nikt nie rozumiał, prócz pana Pocijaka z ulicy Wroniej, figury komicznej i ograni-czonej. Moglibyśmy wprowadzić wcale na serio nie brać wykładu o Polsce i traktować go od-początku, jako dziwactwo pour épater des Po-ciejaks, autor zrobił jednak dość wiele, żeby skłonić nas do szukania i odnajdywania w niej t. zw. głębszego sensu. Osiągnięte za po-mocą autoritorni niedopowiedzenie staje się znów głównym środkiem artystycznego wyra-za. To samo ma miejsce we fragmencie za-wierającym realistyczny opis snu o ucieczce z niewoli, gdzie groteska górną już wyraźnie i wynika z samego faktu, że cała historia jest marzeniem sennym, gdzie jednak psycholo-giczny proces wewnętrznego szamotania się, oparty o asocjacje tradycji literackiej ma wy-nikar serio.

W najczystszej może postaci rozszczepie-nie dokonane przez postawę ironiczną wystę-puje w erotycznym wątku powieści, w pysznie zarysowanej sprawie Susanne. Młoda Fran-cuzka, dziewczyna zakochana i naiwna, bie-rze wprost i na serio te wszystkie patriotyczne prawdy i komunały, które bohater pragnie przekazać jej jednocześnie ze swoim do nich dystansem i rezerwą. Rozszczepienie nie ist-niałoby, gdyby postawa bohatera była wprost postawą sztycherza. Nie miałby on wtedy wca-le ochoty czytać egzaltowanej dwudziesto-latce trzech wieszczów, prowokując jej unie-sienia, a odczyt o Polsce wygłosiłby stylem krytycznym i oschłym, przeplatany drwiną pod zupełnie wyraźnym adresem. Postawa bo-hatera jest inna, bardzo „na pograniczu” i bardzo obosieczna. Popycha go do czytania pannie romantycznych poetów, zachwycając się nimi i rozkochania jej w sobie, potem do ironii, która go odpycha od niej i od nich, co nie przeszkadza mu cierpieć skrycie, kiedy Su-sanne odjeżdża.

Postawa ironiczna bohatera jest rodzajem maski, wyrażającej pewną wstydlivość uczuć, sądów i poglądów, pod którą kryje się już nie obawa przed banalnością, co może bywa w tych wypadkach punktem wyjścia, ale istot-na, wzrastająca w nas równocześnie z pew-ną kulturalną sublimacją na określonym tle społecznym, potrzeba sceptycyzmu, wyrażają-co się w widzeniu naraz dwu stanowisk. Postawa ta nie łączy się w zasadzie z żadnym z określonych stanowisk światopoglądowych, zdolna jest do zajęcia każdego, jest to posta-wa typowo inteligencka. Odbiciem tego świe-tła podchwyczonego i zarysowanego typu oso-bowości bohatera jest jego stosunek do dru-giej ważniejszej postaci kobiecej, Janki Bir-min. Między tą pół-Polką, pół-Angielką a bo-haterem zadzierzgnięta zostaje pełna wdzięku nie porozumienia wynikająca z nieoczekiwa-nej zgodności reakcji negatywnych i to czego nie rozumiała naiwna Susanne, Janka Bir-min chwytła doskonale. Nie jest to porozu-mienie intelektualne, polegające na jakiegokol-wiek zgodności poglądów czy zasad, ani też zbliżenie uczuciowe, ale instynktowne niemal porozumienie dwójga ludzi, których drogi my-słowe przebiegają w sposób podobny, których krytyczne reakcje są jednakowe, którzy ro-zumieją się choćby w niczym się poza tym nie zgadzali. Typowa prawda intelektualnego na-skórka, milcząca porozumienie ludzi jednej for-macji społeczno-intelektualnej.

W myśl tego, co sądzić można o stanowisku autora na podstawie zastosowanej przez niego metody artystycznej, nie wydaje się, aby jego zamierzeniem było oddzielenie postawy własnej od postawy bohatera powieści. Miew-to wprowadzić niekiedy miejsce również w po-wieściach pisanych w pierwszej osobie, ale ze-zwyczaj wówczas, kiedy bohater zostaje jak-oś skompromitowany. Dygat próbuje wprowadzić czasem oddzielić się od swej krea-cji, czyniąc z niej figurę groteskową, z dru-giej jednak strony wkłada w jej usta pełny tok

wypowiedzi własnej. Próba rozszczepienia jed-norodności stanowiska bohatera przez mecha-nizującą groteskę, dotyczy właściwie już tylko samej fikcji literackiej, wzmacnia jedynie i obrysowuje jej kształt. Poza ten kształt sto-jący za bohaterem autor nie wychodzi. Po-wieść Dygata jest pod tym względem całkowi-cie jednorodna. Na całej przestrzeni książki nie widzimy w niej świata oczyma innymi, niż oczy jej zdeteminowanego w swej postawie bohatera. Jest ona doskonałym obrazem pew-nego wycinka rzeczywistości, oglądanej ze stanowiska, którego cechą jest wprawdzie brak stanowiska własnego, typowa inteligencja, ale które z pozoru tylko uchodzić może za nie-określoną.

Jak określić można postawę autora „Jezio-ra Bodeńskiego” wobec rzeczywistości realnej, w ramach której ukształtowana została jego fikcja artystyczna? Nie tylko element grotes-ki i zakres deformujących i schematyzują-cych przerysowań rozstrzyga o stopniu realiz-mu tej prozy, na temat której Wyka w swoim studium „Tragiczność drwina i realizm” su-gerował, że jest w świecie stosunków real-nych ta „walka z formułą psychologiczną i wzmówieniem zbiorowym”, jaką w krainie czy-stej fikcji prowadził Gombrowicz. Odkryw-ność psychologiczna i obnażanie pewnych schematów jest metodą, ale czy jest celem i faktycznym czy też zamierzonym osiągnięciem tej książki? O co w niej chodzi właściwie w stopniu większym: o demaskowanie, czy o bar-dziej wyrafinowaną aprobatę postaw, podry-sowanych drwiną? Można by co do tego mieć poważne wątpliwości.

Pozornie bohater „Jeziora Bodeńskiego” walczy ze wzniosłością, demaskuje ją i tropi. Wiemy jednak jaką rolę w naszym przeżyciu estetycznym gra prawo kontrastu. Czy wzru-sza nas kiedyś patos? Wzniosłość wymaga kon-trastowej podbudowy. Taką rolę gra w dużej mierze groteska i drwina u Dygata. Zważmy tylko: czy wzruszyłoby nas opowiadanie o tym, że brodac angielscy marynarze („neptuni”) po wysłuchaniu muzyki Chopina w wykonaniu Janki Birmin okazują zapal dla Polski i Po-laków? Byłoby to młde i nieprawdliwe. Nato-miast ten sam ich zapal wyrażony hołubca-mi po wzajemnej manifestacji braterstwa w dziedzinie kulinarno-gastronomicznej, wy-wołuje w nas uczucia podobne do tych, jakie plastycznie opisuje Dygat w innym miejscu swej powieści, kiedy mówi, że na dźwięk Mar-sylianki coś mu nagle podchodzi pod gardło.

Był przed wojną francuski film o obozie jeńców. W oryginalnie nosił tytuł „La grande illusion”, na ekranach polskich szedł pod na-zwą „Towarzysze broni”. Film był zrobiony dobrze, nie był patriotycznie-batalistyczny szmira, miał w sobie elementy humoru i po-głębienia psychologicznego, opierał się rów-nież na artystycznym prawie kontrastu, a przy tym zawierał szczególnie przemawiają-cą do nas uczuciowo treść. Wychodziliśmy z niego głęboko przejęci i — jak mówi Dygat — uwzniośleni i wysublimowani. Skołowanie książki Dygata z filmem nasuwa się ze wzgł-edu na pokrewny temat, poza tym jednak ude-rza pewne podobieństwo wewnętrznego klima-tu artystycznego obu utworów. Książka Dygata niby wbrew, a właściwie nie wbrew, lecz za-cichą i przekorną zgodą autora, też nas jakoś podnosi i uwzniośla. Podobnie jak tam, tak i tutaj dokonywa się jakiś chytry katharsis.

Jeśli chodzi o film nie mamy żadnych wą-pliwości jakiego jest on rodzaju. Jest to film o dyskretniej tendencji humanitarystycznej. „La grande illusion” — to mały jeniecki teatr, złudzenie życia i rzeczywistości w ramach, oto czonych drutami baraków. W przekonaniu rea-lizatorów humanitarystycznego filmu — to także tragiczne złudzenie sensu walki tocznej pomiędzy narodami Europy. Wśród przejmują-cych dzieł francuskich i angielskich ofi-cerów i żołnierzy, usiłujących wyrwać się z niewoli wyrasta i pozostaje utrwalaona w na-szej pamięci fanatyczna postać niemieckiego komendanta obozu, bezwzględny Prusaka, który mimo inwalidztwa nie traci nic ze spar-tańskiej postawy żołnierza — asety, wierne-go aż po zgon zasadom swojskie pojętego ho-noru i służby. Jest to postać odarta z uczuć humanitarnych, ale istotą humanitaryzmu jest to, że mierzy on ludzi, którzy nim pogardza-ją, swoją a nie ich własną miarą. Ukrytym zamierzeniem czy też mimowolnym efektem pokazania nam tej postaci w filmie było, o-tworzenie perspektyw na to, co jakoby było za ową maską honoru i służby ukryte — na drżących za nią rzekomo, wspólny wszyst-kiem, tym po jednej i tym po drugiej stronie frontu — pierwiastek człowieczeństwa. To by-ło „bezwzględna prawda” ukazanej w filmie postaci i wyrażonej przez film postawy, i to nas „brało”.

U Dygata „bezwzględna prawda”, to zna-czy prawda obnażona z formuły zbiorowych wzmowień, — wyraża się spojrzeniem n czło-wieka przez fitankę drwiny, będącej katali-zatorem naszych wzruszeń, ale która zasad-niczego stosunku człowieka, do rzeczywisto-sci nie zmienia. Lagodna drwina uniemożli-wia porozumienie głównego bohatera z Su-sanne w przedmiocie stosunków wzajemnych i lektury trzech wieszczów, ale nie zmienia zasadniczego jego stosunku do trzech wiesz-czów, który cechuje głębokie przejęcie się ich postawą, ich obrazem Polski i oceną polskiej rzeczywistości, uznanym za prawdziwe z po-rawką człowieka, który drwi i „sercem gry-je”. Satyra na rzeczywistość nie obraża Dy-gata przeciwko tej rzeczywistości, lecz czyni on ją jakgdyby bliższą przez drwinę wła-sną, pozwala mu ją strawić przy po-mocy soków sztyderstwa. Obraz Polski z od-

czytu o Polsce jest dla Dygata prawdziwy i jakgdyby nieprzelamalny.

Wydrwiona w śnie o ucieczce postawa „da-żenia do czynu” zostaje wydrwiona w kate-goriach tradycyjnych, jako dążenie do czynu niespełnionego, problem Kordiana, a nie jako ideologia czynu wogóle, bohater bowiem tkwi w niej całkowicie. Postawa drwiąca podważa w znacznym stopniu to nawet, czego wprost nie obala tym niemniej, słabiej czy mocniej zakorzenieni, tkwimy nadal w zaczerpniętym kręgu tego, co zostało nią przesycone.

Książka Dygata ukazuje nam wyizolowany z normalnego życia świat sylwetek obozowych i postaci wywołanych wspomnieniem czy wyboraźnią w kręgu osobliwego braterstwa: brater-stwa, wywołanego spojrzeniem na człowieka przez pryzmat lagodnej drwiny. Spojrzenie to, choć ma rzekomo wywołać się z proto-typu gombrowiczowskiego grymasu, jest bar-dzo od niego dalekie, bo Gombrowicz patrzy na świat w sposób złośliwy i niechętny, a Dy-gat w sposób zasadniczo przyjaźny. W bogatej galerii typów, jakie przewijają się przed naszymi oczyma na kartach „Jeziora Bodeń-skiego” nie ma postaci zdecydowanie ujem-nych. Niemal jak u Dickensa najbardziej po-dejrzane kreatury (jakich Harry Markowski, jacyś głupkowaci Niemcy) odmalowane są z dobroduszną pobłażliwością. Ta postawa ludzka, choć nie ma za źródło humanitaryzmu właściwego filmowi sprzed drugiej wojny światowej, czyni świat braterstwa narodów z francuskiego scenariusza bliskim wyznaco-nemu przez fatum wojennych losów wycinkowi dzieł o powieści Dygata. Tu i tam ostateczną postawę wyznacza wiara w jedno-rodność elementów, z których zbudowany jest model konstrukcyjny dzieła sztuki, będący je-dnocześnie modelem człowieka.

Ów model człowieka w ramach artystycz-nej fikcji mierzony jest tu i tam tą samą, wynikającą z całości przyjętej przez autora postawą, miarą. Występuje to m. in. w spo-sób znamieny przy charakterystyce sylwet-tek Niemców, malowanych w „Jeziorze Bo-deńskim” w zupełnym oderwaniu od tego, co w ramach artystycznej konstrukcji Dygata się nie mieści, a co jest niewątpliwie prawdą i rzeczywistością inną, której obrazu książka jego nie daje. Pokazani są oni w sposób do-skonały i skądinąd zgodny z doświadczenia przez nas prawdą psychologiczną w roli ku-kiel i marionetek, pozbawionych własnego są-du, w roli robotów, wyzutyk z inteligencji i z inicjatywy.

„Polska trzy tygodnie, Francja sześć ty-godni, ha — nie się nam nie oprze” — recy-tują jeden za drugim formułkę, będącą do-wcipną karykaturą propagandowej sztamcy, jaką mieli na ustach wszyscy przeciętni Niem-cy, jeśli wdawali się w rozmowę z przedsta-wicielami narodów podbitych. Potem wymu-ja fotografie żony i dziecka, „...niąją, że wojny nie chcą i pragnęliby wrócić jak naj-prędzej do domu. Nic nie można dodać i nie ująć tej charakterystyce tępoty i niekonsek-wencji, ożenionych razem — pychy i mazgaj-stwa”.

Dygat pokazuje nam oczywiście tylko takie sylwetki, z jakimi istotnie zetknął się w obo-zie nad jeziorem Bodeńskim, a więc wybrako-wanych Szwajków na tyłach trzeciej Rzeszy. Są to postaci zadziwiająco dobrodusze i w nieczym niepodobne do galerii przestępczych postaci z Oświęcimia, Mauthausen czy choć-by z oddziałów SS na froncie wschodnim. Trudno zaprzeczyć, że ukazując poprzez nie schemat przeciętnych Niemców, schematyzu-je i upraszcza pełną rzeczywistość realną, której w grotesce Dygata nie byłibyśmy w stanie zobaczyć, gdybyśmy jej pozbawieni nie znali z własnego doświadczenia.

Zarówno w pięknej humanitarystycznej wi-zji francuskiego filmu, jak w doskonałej ar-tystycznej, skończonej i zamkniętej wizji świa-ta w obozie nad jeziorem Bodeńskim, narzu-szone zostają proporcje świata rzeczywistego. Książka Dygata choć oparta na rzeczywistych przeżyciach ze względu na postawę autora nie może nie być utrzymana przez niego w stylu „wielkiej iluzji”, groteski nadającej rzeczywistości pozor złudzenia, a złudzeniu pozor rzeczywistości. „La grande illusion” wielkie złudzenie francuskiego filmu — to dla nas dzisiaj równie tragiczne złudzenie nie-rzeczywistego obrazu świata, którego wizję chciano świat rzeczywisty uleczyć z rzeczywistych schorzeń i rzeczywistych dolegliwo-sci. Życie bohaterów Dygata przeniesione na tło zjawisk realnych, sobie współczesnych, jest też artystycznym wyrazem tragicznego złu-dzenia, jest jakgdyby życiem na niby, zaba-wą w społeczeństwo, co oddaje w sposób trafny, groteskowa forma powieści, ratująca i usprawiedliwiająca ukazany nam obraz świata.

Wieloznacznie stosowane było pojęcie rea-lizmu w rozważaniach, jakie pojawiły się w ciągu ostatniego roku, przed wyśięciem z dru-ku pierwszych książek, które by wysunęły postulaty dyskusji programowej mogły speł-nić. Zgadzano się jednak na ogół, że pełny rea-lizm uwarunkowany jest postawą wyukłą z uczestnictwa w pełnej rzeczywistości społecz-nej i z jej pełnej oceny. Takiej postawy Dy-gat nie zajmuje w swojej powieści i takiej oce-ny dać nie może. Ale w swojej postawie i w swojej ocenie, której granice zakreślają ramy konstrukcyjne książki, Dygat jest konse-kwentny, dlatego powieść jego, pomijając drobne, wypadające fragmenty, (pamiętnik i wspomnienia z Warszawy) jest artystycznym monolitem, jest skończonym i doskonałym dziełem sztuki p.arskiej. Przedstawiony przezeń obraz wycinka rzeczywistości społecznej jest może w stosunku do całości fikcją, ale fikcją konsekwentną i określoną. Fikcją, któ-rej proporcje artystyczne są utrzymane.

O książce Dygata

Stanisław Dygat napisał powieść p.t. „Jezioro Bodeńskie”. Bohater tej, młody człowiek, Polak z ducha, warszawiak z urodzenia, a Francuz z paszportu i z odległych związków krwi, na zasadzie swej przynależności państwowej trafia do obozu dla cudzoziemców, głównie Francuzów i Anglików, założonego przez trzecią Rzeszę nad Jezioro Bodeńskim. Tam przeżywa powikłania duchowe na tle miłości, nostalgii, tęsknoty za Warszawą, czuje się w tym obozie, pełnym obywateli, głównie Polaków i pragnie współtowarzyszyć niewoli, przekazać swą wiedzę o Polsce, aby się samemu tym mocniej utwierdzić w wyborze ojczyzny.

Każdy, w którego rekach znajdzie się powieść Dygata, nazwie ją zapewne książką uroczą i sympatyczną, zostanie pociągnięty jej obrazowością i zjednanym dla tej bohaterów. I mimo, że „Jezioro Bodeńskie” jest czymś daleko więcej niż książka sympatyczna, na te jej cechy warto położyć nacisk, bo płynię z najlepszych warstw w psychologii twórcy i świadczy o najszcześliwszym rozwiązaniu zasadniczej trudności utworów pisanych w pierwszej osobie, a mianowicie: stosunku pisarza do postaci opowiadającej, do narratora. Ołóż w tym właśnie, w stosunku do bohatera, który opisuje nam swe obozowe przeżycia, kryje się urok tej książki. Tkwi w nim prostota i zażenowanie, czasem nawet naiwne, a co więcej — jakaś pasja wewnętrzna, aby sobie niczego nie dodać, w niczym się nie upiększyć, nie wydać się samemu sobie lepszym, niż jest się w rzeczywistości. Dygat śledzi i szuka swego bohatera, mściłby się na nim najmniejszą za każdą nieszczerą minę, za każdy fałszywy gest. Jest w tym niechybnie jakaś namietność, głębsza i o szerszym zasięgu niż tylko stosunek do samego siebie; kryje się tu zasadnicza postawa wobec ludzi i świata, postawa podejrzliwa i kontrolująca śmiech, antykonformna — ale zawsze wrażliwa na sprawy człowieka, zawsze uczuciowa pod pozorem sztywności.

Te uczuciowości Dygat hamuje w sobie, jest ona dla niego dziedziną najwidoczniejszą wstydlivą. Oslania ją humorem, żartem, jakże zresztą wybornym i świeżym, i od tej strony daje nam się poznać jako bystry obserwator, szczególnie uczulony na niezdarność ludzi, których przedstawia, na ich nieporadność wobec samych siebie, w czym zresztą nie oszczędza osoby bohatera.

I rzecz zadziwiająca: istotny ładunek intelektualny powieści mieści się właśnie w tych żartach i kpinkach, w tej mowie niepoważnej, w szyderstwach z drobiazgów. Narzuca się porównanie do człowieka, który jednym przelotnym rzutem oka spostrzega głębsze prawdy i gromadzi więcej obserwacji, niż długim, dokładnym wpatrywaniem się w przedmiot. Jedną żartobliwą uwagą autora więcej przynosi tej książce istotnego dobra, niż inne rozpracowane partie o charakterze intelektualnym.

Z autorstwa Dygata wypływa cecha natury szerszej i bardziej ogólnej. Znać bowiem, że w stosunku do samego siebie opiera się na jakiejś istotnej postawie wobec świata, narodu, światu artystycznych i moralnych. Z lekkiego napozór tekstu „Jezioro Bodeńskie” przebija najgłębsze przekonanie o istnieniu wartości kapitałowych, których się nie oszuka żadnym dygiem, wydecem czy fałszywą miną. Tylko wielka danina szczerości jest w stanie im sprostać. Cznie się w tej powieści niesformułowane przez autora racje, w myśl których byłoby grzechem, przestępstwem wewnętrzny — upiększanie własnego obrazu w oczach otoczenia. W tej postawie jest czystość i młodzieńczość: wiele wartości pisarz zapewne ceni tak wysoko, że właśnie chyba przez chęć nie umniejszenia ich nawet o włos, dba o zachowanie prawdziwych wymiarów swej postaci w książce, która stworzył. Lecz wartości tych nie określa jasno.

Czuje się w „Jeziorze Bodeńskim” niechęć autora do światopoglądowych rozstrzygnięć. Dygat stawia wiele zagadnień, ale — ze względów artystycznych może — cofa się przed ich rozważaniem. Po przeczytaniu książki zostaje nam sympatia dla bohatera, ale kim jest ten bohater prawdę mówiąc nie wiemy, bo jego światopogląd Dygat ukrywa w mgłach. Oto przykład dla utworu charakterystyczny: autor ma bogate zasoby lagodnej ironii i lubi drwić potrosze z wszystkiego — z miłości, z romantyzmu, z Polski, z Niemiec, z wojny itd. Jest to drwina przepojona wyrozumiałym spojrzeniem na świat i wydawać by się mogło, że do innej autor jest niezdolny. Tymczasem dzieje się inaczej: są partie w „Jeziorze Bodeńskim” pisane

z nieustępliwym, zaciekłym szyderstwem. Są to partie, poświęcone automatyzmowi form i gestów obywateli, poruszeniom, które Dygat drażni, w których wyczuwa kłamstwo. Mamy prawo spodziewać się, że autor zdemaskuje tu swego bohatera: że każe mu się przyznać do jakiejś wiary, wybrać jakąś postawę. Czy potępią owe gesty na skutek zwątpienia w ich sens, jako objawów życia, lub z niewiary w sens istnienia ludzkiego w ogóle, czy też rażą go one, jako przeżytek skompromitowanego już układu treści, a więc czy wierzy w możliwość „gestów” bardziej sensownych? Wybór bogaty. Ale Dygat uchyla się od niego i pozostawia nas nietych wdekiem swych środków artystycznych — lecz nieoswieconych.

Ironia, drwina i szyderstwo Dygata zmusza do namysłu. Jaki miernik wartości ka-

EDWARD CSATO

Przewodnik po krainie barbarzyństwa

Zamierzenia naukowe. Opracowanie naukowe dzieł okupacji hitlerowskiej w Polsce jest sprawą pilną i ważną. Oprócz względów czysto poznawczych przemawiają za tym również potrzeby praktyczne: niepodobna uświadomić sobie sensu czasów, które obecnie przeżywamy, linii rozwojowych historii i naszych własnych obowiązków, wynikających z dzisiejszego układu stosunków, bez możliwie dokładnego poznania, czym był hitlerizm. Dlatego każde badanie na tym polu powinno interesować nie tylko fachowych historyków, ale każdego z nas, któryśmy przetrwali podłość tamtego okresu i w walce z jego sprawcami znaleźli sens życia.

„Historiografia ostatniej wojny stoi... obecnie przed nowymi zadaniami. Obok normalnych objawów procesu wojennego, których opisem zwykli byli zajmować się historycy — historiografii tej epoki przyspada zadanie opisu zjawisk nowych i niepojętych w swej zbrodniczej grozie” — pisał prof. dr Filip Friedman, przewodniczący Centralnej Żydowskiej Komisji Historycznej w Polsce (Przedmowa do „Dokumentów i materiałów” t. I). Komisja ta jest dziś jedyną bodaj w Polsce instytucją, która poważnie zajmuje się wydawaniem prac z tej dziedziny. Spis wydawnictw Komisji zawiera już około dwudziestu pozycji, a kilkanaście następnych ukazuje się w niedługim czasie. Ponieważ polskich prac tego typu prawie że nie mamy, wydawnictwa te stają się niezbędnym i ogromnie interesującym przewodnikiem po krainie hitlerowskiego barbarzyństwa.

Wiemy dziś, że barbarzyństwo to było regulowane konsekwentnym i głęboko przemyślanym, choć świetnie (wówczas) zakomunikowanym planem, mającym na celu zupełne zniszczenie pewnych grup narodowościowych, przede wszystkim Żydów, Cyganów i Słowian. Pozorne różnice w wypowiedziach przywódców Trzeciej Rzeszy, w oficjalnych obwieszczeniach poszczególnych urzędów w Generalnej Gubernii, nagle zmiany w polityce niemieckiej wobec podbitych narodów nie powinny nikogo zmilczeć — najprawdopodobniej należały one do systemu konspirowania „Vernichtungskrieg” (myśle, że najlepszym tłumaczeniem tego wyrazu, rozumianego w nadanym mu przez hitlerzyńskie sensie, byłoby chyba owo „ludobójstwo”, pod zarzutem którego stoją obecnie reprezentanci hitlerowskich Niemiec w Norymbierze). Bo tylko w ten sposób można wytłumaczyć fakt, że w momencie, gdy miarodajna figura partyjna zapowiadała w jednym mieście łagodniejszy kurs wobec Żydów, inny dostojnik w najbliższym mieście wojewódzkim posyłał na śmierć całe osady. Te „sposoby” należą do tego samego rzędu, do którego również zaliczamy szczytę jednych grup niszczonych narodów przeciw drugim (Polaków przeciw Żydom, a czasem przeciw Żydom ubogich przeciw bogatym, bogatych przeciw ubogim, Żydów ezeskich czy węgierskich przeciw polskim); wszystkie one miały na celu z jednej strony ukrycie zbrodni przed oczyma reszty świata, z drugiej — zmylenie przeciwnika i ułatwienie sobie roboty.

A skoro rzeczywiście był plan w wielopostaciowej, proteuszowej zbrodni hitlerowskiej, nasuwa się dziś konieczność rejestracji i analizy jej wszystkich zawiłych form; naukowego opisu przemian polityki niemieckiej w przestrzeni i czasie; dopiero potem można się będzie ważyć na ostateczne i uprawnione wnioski.

Przypuszczam, że już samo sformułowanie tego rodzaju programu nie pozostawia wątpliwości co do tego, jak trudna i żmudna musi

być taka praca; jasne jest, że do jej przeprowadzenia trzeba będzie co najmniej kilku pokoleń badaczy. Otóż niepodobna wymagać, aby początki jakiejś nauki dały od razu wyniki ostateczne i niewątpliwe; i owoż i omawiane tu dotychczasowe prace Żydowskiej Komisji Historycznej uważa wypadnie za publikację, będącą wyrazem początkowej fazy badań, polegającej na gromadzeniu materiału i próbach zorientowania się w jego nawale. Oczywiście, wysiłek orientacyjny uczonożony związany jest zawsze z jakąś próbą ujęcia syntetycznego, synteza taka jednak ma zazwyczaj charakter raczej pomysłu heurystycznego, niż ostatecznego sformułowania.

Zamierzenia literackie

Obok prac naukowych lub półnaukowych (t. zn. o zamierzeniach poznawczych, ale nie operujących dostatecznym aparatem i mogących spełniać jedynie rolę materiału), wydaje Centralna Żydowska Komisja Historyczna również utwory, które nazwalibyśmy raczej literackimi. Z góry zaznaczyć, że podział ten jest bardzo problematyczny i wymaga opatrzenia go całym szeregiem komentarzy.

Jedno tylko z omawianych wydawnictw operuje zamierzoną i wyraźną fikcją literacką: to dramat Stefana Otwinowskiego „Wielkanoc”; o utworze tym możemy powiedzieć na pewno, że nie posiada ambicji dokumentu historycznego, lecz stara się ukazać prawdę o meczemstwie Żydów, ich walce z hitleryzmem i stosunkach polsko-żydowskich, sposobami dostępnymi literaturze. Wszystkie inne dotychczasowe wydawnictwa Komisji są niezależnie od swych walorów literackich przede wszystkim dokumentami, dotyczącymi rzeczywistych wypadków i dążącymi do wierności historycznej. A więc „literackość” niektórych prac należałoby może rozumieć po prostu w tym sensie, w jakim mówi się o literackości reportażu? I to nie, bo reportażu w ścisłym tego słowa znaczeniu Komisja jeszcze nie wydała (wkrótce dopiero ma się ukazać pierwszy reportaż — „Na polach Treblinki” — Racheli Auerbach); ale niektóre z prac stanowią coś pośredniego pomiędzy pamiętnikiem, reportażem, szkicem literackim a powieścią. Pamiętnik, który sam przez się nie posiada walorów dzieła sztuki, nie jest ani utworem literackim, ani naukowym; stanowi po prostu surowy materiał, z którego w potrzebie może czerpać i uczyć artysta; taki charakter posiada np. książeczka Leona Wieliczera „Brygada śmierci”; ale już „Pamiętnik Justyny” Gusty Dawidsohn — Draengerowej nie jest typowym pamiętnikiem. Nie dlatego, że autorka zastępuje konsekwentnie pierwszoosobowe „ja” bezosobistą trzecią osobą („Justyna mówi”, „Justyna posyła...” itd.); to można łatwo wytłumaczyć warunkami, w jakich pamiętnik powstawał (więzienie i obawa zdekonspirowania towarzyszy). Ważniejsze jest to, że pewne fragmenty pamiętnika odrzucają się zupełnie od osoby autorki i nabierają charakteru relacji reportażowej, a czasem nawet zgoła powieściowego opisu zdarzeń, w których Justyna nie brała udziału.

Zmienny charakter narracji w „Pamiętniku Justyny”, czyniący z tej pracy coś pośredniego między wspomnieniami a opowiadaniem, wynika niewątpliwie w pewnej mierze z nieopanowania techniki pisarskiej przez młodą au-

torke; poza tą niedoakonałością techniczną mamy jednak prawo podejrzewać również świadomy zamiar literacki.

Inny charakter posiadają dwa utwory Michała Maksymiliana Borwica: „Uniwersytet zbiorów” i „Literatura w obozie”. Są to przebieżnie szkice (essays), do których dołączone zostało jedno opowiadanie „Dwa dni” (w zbiorze „Uniwersytet zbiorów”); autentyzm tego opowiadania nadaje mu wartość dokumentu, niemniej jednak jest ono świadomie zamierzonym dziełem literackim, a nie dokumentem, ani nawet reportażem. Należy np. przypuszczać, że dialogi, spełniające w utworze ważną ideologiczną i psychologiczną rolę, w rzeczywistości musiały rozgrywać się w znacznie dłuższym okresie czasu. W „Dwa dniach” można dopatrzeć się jednej tylko różnicy z tym, co uważa się na ogół za typowe opowiadanie: oto akcja polega tu na wiernym zdaniu sprawy z wypadków, które więźniowie obozu janowskiego przeżyli w ciągu pewnych 48 godzin i akcja ta, a nie — jak na ogół bywa w takich wypadkach, jakiś inny czynnik — jest dla opowiadającego sprawą najważniejszą; różnica ta jednakże nie wydaje się na tyle istotna, aby zaliczyć „Dwa dni” do jakiegś innej grupy literackiej.

Rozgraniczenie pomiędzy wspomnieniami Borwica a wymienionymi poprzednio autorów wynika, rzecz prosta, przede wszystkim z tego, że w tym wypadku są one dziełem literata z zawodu, w innych — lepszy lub gorzej umiających pisać dyletantów, dla których sprawa najważniejsza była przekazanie prawdy o meczemstwie polskich Żydów. Tym niemniej sposób przedstawiania rzeczy — opisywanie konkretnych zdarzeń, dążenie do plastyki wyrazu, do wiernego przedstawienia atmosfery, panującej w opisywanej grupie, bogactwo analiz psychologicznych jednostkowych i społecznych oraz indywidualnych sądów wartościujących — pozwala zaliczyć te wszystkie prace do kategorii literackich.

Ten dwójki kierunek — naukowy i literacki — w pracach Komisji posiada niewątpliwie słusne uzasadnienie. Obok ścisłego, dystrybucyjnego opisu naukowego, potrzebne jest oddziaływanie atmosfery, panującej w społeczeństwie żydowskim i wśród niemieckich katów obozowych; potrzebne są wszystkie konkrety tego jednego w swoim rodzaju procesu nagle i masowego wyniszczenia całego niemal narodu. A zresztą w walce, która się toczy na całym świecie pomiędzy faszyzmem a obozem postępu, nie wystarczy abstrakcyjny, wyprany z żywego przeżycia sąd nauki; chodzi o to, aby dzisiejszy człowiek nie tylko wiedział, ale i czuł i współczuł i przeżywał najdrobniejszych fibrami swojej wyobraźni klęskę, jaką oznacza dla Europy i świata zwycięstwo programu faszystowskiego. A bywa, że krzyczące o zbrodni wykresy i tabele liczb mogą zostać przyćmione przez kilka słów literackiego opisu.

„Tym niemniej nawet Untersturmführer Gustaw Williams nie jest puszawionym cech ludzkim. Kocha swoje dziecko i często bawi się z nim na balkonie swojej willi. Dla sroawienia mu przyjemności strzela z balkonu na odległość do więźniów, którzy znajdują się przypadkowo w zasięgu jego broni. Gdy przy dalekich barakach od strzelali tych padają — i drugi więzień, malenka córeczka Williama o nordyckim imieniu — Heike — klaszcząc radośnie w ręce: „Zuch z tatusia! Jak ty celnie strzela!” Po czym uradowana prosi: „Papa, jeszcze! Papa jeszcze!” (M. M. Borwicz „Uniwersytet zbiorów”).

Trzeba by wiele rozpraw napisać, aby zastąpić ten krótki fragment. Warto może dodać w tym miejscu, że — jak dotychczas — istnieje jak gdyby pewien podział pracy pomiędzy Centralną Komisją Żydowską w Łodzi a jej najżywiej działającym oddziałem w Krakowie. W Łodzi wydaje się więcej książek o charakterze naukowym, w Krakowie — więcej prac literackich.

O b o z y

Ze wszystkich zagadnień, poruszonych w wydawnictwach Komisji, na pierwszy plan wysuwa się sprawa obozów. Wiele jest tego powodów. Przede wszystkim (zaczynamy od mniej ważkich) obóz, to było coś, co na człowieku w nim przeżywającym wywoływało na ogół znacznie silniejsze wrażenie, niż wszystkie inne jego dotychczasowe przeżycia. Nie można o takich przeżyciach zapomnieć i oczywiście usuwają one przeważnie w cień inne wspomnienia z czasów wcześniejszych, np. z getta. Powód ten można nazwać psycho-

Spółdzielnia Wydawnicza „KSIĄŻKA”

i firma Gebethner i Wolff

na podstawie porozumienia zawartego w dniu 24 maja 1946 r. podają do wiadomości publicznej, że następujące wydawnictwa Małej Biblioteczki „Książka”

SIENKIEWICZ — Janko Muzykant. Za chlebem. Jamiot. Latarnik. Szkice węglem. Bartek Zwycięzca.

PRUS — Grzechy dzieciństwa. Na wakacjach. Katarzyna. Antek. Pałac i rudera. Sen. Cienie

zostały uznane, jako wydawnictwa wspólne Sp. Wyd. „Książka” i firmy Gebethner i Wolff.

GEBETHNER i WOLFF
Warszawa

SP. WYD. „KSIĄŻKA”
Warszawa

gicznym. Następny powód byłby natury wydawniczej. Komisja, planując swoje prace wydawnicze, musi zaczynać od spraw, co do których posiada więcej materiałów, tym bardziej, że materiały te są na ogół znacznie wymowniejsze.

Celem polityki niemieckiej wobec Żydów było zupełne zniszczenie całego narodu. Zniszczenie to dokonywało się w t. zw. obozach śmierci („Vernichtungslager“, „Totenlager“). Taki obóz śmierci można więc uznać za kres, za ostatni etap życia każdego Żyda w Europie, opanowanej przez hitlerizm. Co prawda, obozów, w których zabijanie ludzi dokonywało się automatycznie z chwilą przybycia nowego transportu, nie było wiele; zazwyczaj oprócz obsługi komory gazowej, krematorium i innych urządzeń morderczych były jeszcze w obozie grupy (a w większych obozach ogromne gromady) ludzi, zamknięte tam „za karę“, w celu spełniania przymusowej pracy; były również obozy bez komory gazowej. Hitlerizm dążył do tego, aby w każdym etapie niszczenia swoich niewolników równocześnie jak najbardziej wykorzystywać ich siły: jego przemysł śmierci był w wysokim stopniu skomercjalizowany. Wskutek tego nazwa „obóz“, oznaczająca koniec wędrówki życiowej Żyda, oznaczała równocześnie szereg wcześniejszych jej odcinków. Obozów było w Generalnej Gubernii mnóstwo, przy każdym większym miejscu pracy był zazwyczaj zorganizowany jakiś obóz; getto zaś można by właściwie również nazwać obozem, choć niewątpliwie obozem w załączku. Znane są wypadki, gdy po szeregu akcji „oczyszczających“ jakieś getto z elementu niepracującego, otrzymywało nazwę „Judenlager“ (np. Julag - Lemberg, to po prostu getto lwowskie w ostatnim swoim okresie), z nim nie nastąpiła ostateczna selekcja, likwidacja i rozmnieszczenie pozostałych przy życiu Żydów w centralnych kombinatach śmierci, takich jak Oświęcim, czy Majdanek.

Można by zatem powiedzieć, że od chwili wkroczenia wojsk niemieckich na terytorium polskie, Żydzi zostali zamknięci do obozów. Obozy zaś dzieliłoby się na trzy: na getta, obozy pracy i obozy śmierci. Oczywiście, przy podziale takim należy pamiętać, że zabijano wszędzie, a jedynie zasięg i sposoby zabijania były różne, oraz, że obozy śmierci były przeznaczone na prostu pewnym wydzielonym terytorium w obozniejszym obozie pracy. Nie sposób bowiem nie zauważyć, że zawsze pewien zasadniczy motyw powtarza się w różnych wariantach — zależnie od warunków lokalnych. I tak np. w Lwowie istnieją „Piasiki“, na których za pomocą rozstrzelania likwiduje się Żydów z getta, względnie z obozu pracy przy ul. Janowskiej; w Wilnie też samą rolę pełni Ponary; w Oświęcimiu komory gazowe, które stanowią miejsce śmierci zarówno dla Żydów z tamtejszego obozu, jak i dla Żydów przywiezionych czy to z innych obozów pracy, czy bezpośrednio z gett całej Europy...

Zauważam, że za propozycję określenia getta jako obozu dla Żydów, różniące się od innych obozów jedynie zakresem więźniów (w getcie — przynajmniej w pierwszym okresie — byli pracujący i niepracujący), ponoszę odpowiedzialność ja sam; w pracach Żyd. Kom. Hist. nie znalazłem tego uogólnienia.

Na przykładzie zagadnienia obozów doskonale można prześledzić rozwój prac Komisji. Pierwsza, wydana przez nią książka „Dokumenty zbrodni i męczeństwa“ to zbiór urwków zeznań ocalałych Żydów (z dodatkami kilku zeznań Polaków), z których mniej więcej połowa traktuje o życiu w obozach. Jest to niejako pierwsze wprowadzenie w ten, budzący grozę, temat; rzeczywiście — na podstawie sumiennej lektury tych zeznań można wyrobić sobie ogólny pogląd na politykę Niemców wobec polskiego żydostwa. Wydanie jest jednak niekrytyczne i na przykład pewne subiektywne oceny dokonanej zbrodni (myślę przede wszystkim o podawanych w zeznaniach liczbach zabitych) mogłyby doprowadzić do fałszywych wniosków. Wydaje mi się, że nie należy z tego robić zarzutu wydawcom „Dokumentów“, ponieważ celem ich nie było danie historycznie ścisłego naukowego obrazu (którego uzyskanie w pierwszym okresie badań było jeszcze niemożliwością), lecz właśnie obraz ogólny, oparty na subiektywnych ludzkich przeżyciach.

Następne wydawnictwa Komisji to albo materiały, pozwalające bliżej wejrzeć w życie szczególnie interesujących obozów, albo częst-

kowe ujęcia syntetyczne. Do pierwszej kategorii wypadnie zaliczyć takie prace, jak „Bełżec“, „Brygada Śmierci“, „Pamiętnik Justyny“, do drugiej szkielet literackie M. M. Borwicz (zwłaszcza świetna „Literatura w obozie“), dr. Datnera „Walkę i zagładę białostockiego getta“, dr. Friedmana „Zagładę Żydów lwowskich“ i „To jest Oświęcim“. Ta ostatnia praca została wprawdzie wydana nakładem Państw. Wydaw. Literat. Politycznej, uważam jednak za słuszne wspomnieć o niej przy omawianiu prac Komisji, ze względu na osobę autora, oraz na fakt, że duża część wyzyskanych w niej materiałów jest własnością Komisji.

Ostatnio wreszcie ukazała się praca, którą uważa się za dalszy krok w badaniach nad obozami. Jest to również zbiór materiałów, ale znacznie wielostronniejszy niż dotychczas (po raz pierwszy zostały wyzyskane jako materiał dokumenty, pozostawione przez Niemców w różnych obozach i urzędach na terenie G. G. i Warthegau) i zanalizowany krytycznie. Praca ta nosi bardzo długi tytuł „Dokumenty i materiały z czasów okupacji niemieckiej w Polsce. Tom I. Obozy“, a autorem jej jest mgr. N. Blumenthal. Jego przedmowa do dokumentów („Obozy niemieckie w Polsce w latach 1939—1945“) stanowi pierwszą badaną syntetyczną pracę, omawiającą ściśle, choć na razie jeszcze bardzo zwięźle i niewyczerpująco — całokształt zagadnienia obozów w Polsce. (Oczywiście mowa tam o obozach w ciśniejszym znaczeniu, z wyłączeniem gett). Wstęp zaś dr. Friedmana do tego tomu formułuje — znowu po raz pierwszy — zagadnienia i potrzeby nowej nauki, „obozologii“.

Należy się spodziewać, że następne prace Komisji dalej pogłębią i udoskonalać opracowanie tego ważnego zagadnienia.

Ruch oporu.

Drugą interesującą sprawą, z którą zapoznamy się bliżej na podstawie dotychczas wydanych prac Komisji, jest problem oporu Żydów polskich przeciw niemieckiemu ich okupantowi. Wiemy już, że mimo niesłychanego terroru, Żydzi próbowali przeciwstawiać się hitleryzmowi, walczyć z nim w gettach, obozach, po „stronie aryjskiej“ i w lasach. Różne było nasilenie tego ruchu; zależało ono przede wszystkim od tego, czy w danym środowisku znaleźli się aktywni działacze polityczni; trzeba bowiem podkreślić, że nieistniał opór wychodzący zawsze ze strony partii politycznych, które grupowały dookoła siebie odważniejsze jednostki i młodzież. Przecistawiali się oni z jednej strony Niemcom, z drugiej — żydowskiemu kłótniowemu, milicjantom, szpicłom, donosicielom. W atmosferze przynębiania i strachu, powodującego ogólną demoralizację, działacze żydowskiego ruchu oporu musieli zachować wysoki poziom etyczny. W walce swej zwracali się o pomoc do polskich organizacji bojowych, nawiązywali kontakty, częstokroć ugadniali plany działania. W najtrudniejszych warunkach próbowano walczyć z nieprzyjacielem; nawet w obozach śmierci. W Bełżcu, Treblince, Sobiborze — znajdowały się jednostki, które nie zapomniały o obowiązku organizowania się dla walki. Jeśli nawet akcje ich nie udawały się wobec olbrzymiej przewagi wroga, w każdym razie stanowiły manifestację ludzkiej godności i budziły dalszy opór w coraz szerszych grupach narodu żydowskiego.

Na podstawie dotychczasowych prac Komisji można się zorientować, jakie były formy oporu w większych gettach (Kraków, Lwów, Białystok) i obozach. Nie dowiadujemy się jednak na razie niczego o wielu zagadnieniach, również niezmiennie interesujących, które dopiero czekają na opracowanie. Jak przedstawia się sprawa partyzantek żydowskich? Gdzie były ich główne ogniska, jakie największe nasilenia, jakie centra rozkazodawcze? Ilu Żydów brało w nich udział i czego te partyzantki dokonały? A dalej — jeszcze jedna dziedzina, dotychczas zupełnie niemal nieporuszona: życie tych Żydów, którzy przedostali się dzięki fałszywym papierom na „stronę aryjską“ i ukrywali się w społeczeństwie polskim. Ich udział w ruchu oporu — zarówno polskim jak żydowskim. I przede wszystkim nie opracowana jest wciąż jeszcze tragedia warszawskiego getta.

To wszystko są tematy przyszłości.

LITERATURA PRZEDMIOTU

1. Dokumenty zbrodni i męczeństwa. — Kraków 1945.
2. Dr. F. Friedman — To jest Oświęcim — Warszawa 1945.
3. Dr. F. Friedman — Zagłada Żydów lwowskich. — Łódź 1945.
4. M. Borwicz — Uniwersytet zbirów — Kraków 1946.
5. M. M. Borwicz — Literatura w obozie — Kraków 1946.
6. S. Otwinowski. — Wielkanoc — Kraków 1946.
7. R. Reder — Bełżec — Kraków 1946.
8. Mgr. N. Blumenthal. — Dokumenty i materiały z czasów okupacji niemieckiej w Polsce. I. Obozy — Łódź 1946.
9. L. Wieliczker — Brygada śmierci — Łódź 1946.
10. Dr. Sz. Datner. Walka i zagłada białostockiego getta. — Łódź 1946.
11. G. Draenger — Pamiętnik Justyny — Kraków 1946.
12. W trzecią rocznicę zagłady getta w Krakowie. — Kraków 1946.

Edward Csato

Przedmowa do „Antysemitów z przekonaniami“ Juliana Bendy

Ujętą w formie dialogu broszurę o antysemityzmie Julien Benda napisał w r. 1941 a umiejscowił ją w czasie w przededniu wojny, w czerwcu 1939 r. Było to już po klęsce Francji, ale światu jeszcze się nawet nie śniło o okropnościach Oświęcimia, Dachau, Treblinki, o dosłownym całopaleniu milionów ludzi, przede wszystkim Żydów. Podkreślam te daty dlatego, że uwypuklają one prekursorską myśl humanisty francuskiego. Osoby dialogu Bendy reprezentują dwa przeciwstawne i wrogie sobie poglądy na świat: z jednej strony skrajny, zacięty, dogmatyczny faszyzm, z drugiej — humanizm szlachetny i światły, na pozór beznamietny. Rozmowa dwóch krewnych, porucznika-faszysty i inżyniera-humanisty, ma na początku charakter dysputy filozoficznej na tematy: racjonalizmu i irracjonalizmu, zasady wolnego wyboru i autorytetu, prawości i demagogii, wolności, sprawiedliwości i prawdy oraz ich zaprzeczeń. Jak widzieliśmy, temat ma znacznie szerszy zakres, niżby wynikało z potocznego znaczenia słowa: antysemityzm. W pojęciu bowiem dyskutującego reakcjonisty żydowskim jest wszystko, co wynika z pojęcia: „sprawiedliwości społecznej“, „równości“, „praw człowieka“, „wolności sumienia“, „laicyzmu“ — słowem, z idei Rewolucji Francuskiej. Porucznik Chenavard jest antysemitą, ponieważ dąży do ustroju autorytarnego, opartego na przynależności rasowej do danego narodu, na irracjonalnym przywiązaniu do ziemi, na mistycznym posłuszeństwie władzy, na wierze, iż prawdą jest to, co jest pożyteczne dla państwa. Dyskusja stopniowo się zaostraża i pod koniec faszyzta jawnie już mówi o konieczności zerwania z półśrodkami, t. j. że należy „raz na zawsze wypędzić z Francji wszystkich żydowskich lub zażydżonych wychowawców, wypalić rozpalonym żelazem tę gangrenę, jaką jest uniwersytet, spalić wszystkie pisma głoszące niezależność myśli od Montaigne'a poprzez Kartezjusza do Michela, narzucić aż do zacczadzenia ideę posłuszeństwa w książkach, prasie, teatrze, kinie, na plakatach, przez radio... postępować tak, aby dziecko nigdy nie usłyszało o wolności, sprawiedliwości i prawdzie...“ Środki te mają wyteplić indywidualizm, „który jest klęską ludzkości“. Kwintesencją tej rozmowy jest oświadczenie faszysty, iż gdyby na rewolucyjną Francję napadły narodowo-socjalistyczne Niemcy, zrobiłby, jako oficer, wszystko, aby im pomóc... Po zakończeniu tej rozmowy inżynier-humanista dochodzi do wniosku, że porozumienie między moralnościami reprezentowanymi przez nich obu jest niemożliwe, co więcej — że jeden z nich musi zabić drugiego.

Broszura Bendy powinna znaleźć w Polsce szeroki rezonans dlatego, że postawa psycho-ideologiczna porucznika Chenavarda i jego język są nam znane na wiele lat przed wojną z prasy i wydawnictw t. zw. narodowo radykalnych, podbudowanych ideologicznie przez luminarzy endecji z Dmowskim i Nowaczyńskim na czele. Oczywiście, seniorzy dzisiejszej reakcji polskiej nie chodzą z pepeszą do lasu, wysyłają tam jedynie swoich poruczników Chenavard z ich mętną, zbrodniczą, zdradziecką, ale za to bardzo narrodową „ideologią“ no i — odpowiednimi środkami materialnymi. Celem tej akcji, dokonywanej na szosach polskich, po wsiach i miastach, jest niszczenie aparatu państwa demokratycznego w imię powrotu reakcji, nie wyczerpuje to jednak zagadnienia. Aby zrozumieć w pełni, bardzo pomocna być może broszura Bendy.

Na szosach polskich, dziś, po wielomilionowej masakrze Żydów, dokonanej przez hitlerizm, polscy porucznicy Chenavard mordują Żydów. Mordują ich metodycznie, beznamietnie, na rozkaz swoich władz zwierzchnich. Nie jest to tylko rezultat zwyrodnienia spowodowanego wojną, okupacją i przykładem niemieckich oprawców: znaczny odłam młodzieży polskiej wyznaje zasady tej postaci z dialogu Bendy, która reprezentuje faszyzm. Przypomnijmy sobie przedwojenne słowa „żydo-komuna“, „folksfront“. Przypomnijmy sobie ten prawie slogan reakcjonistów po hitlerowskiej zagładzie żydostwa w Polsce: „Hitler zrobił za nas czarną robotę“. Od aprobaty mordu do samego mordu — jeden krok. Pomiedzy antysemityzmem a reakcjonizmem możemy śmiało postawić znak równości.

Zastanówmy się nad źródłami tego zjawiska w Polsce. Narodowa Demokracja sprzed pierwszej wojny światowej, głosząc hasła bojkotu ekonomicznego Żydów, zatrzymała się jakby w pół drogi. Nie było mowy o eksterminacji, o aktach gwałtu, wyraźnie jednak już wtedy zarysowywała się zasada rasizmu, doprowadzona do apoteozy przez hitlerizm.

Pomijam tu sprawę konkurencji dwóch antagonistycznych odłamów drobnomieszczaństwa, chodzi mi o podkreślenie, że wojna już wówczas została wypowiedziana Żydom. Znamiennym etapem narastania i podsycaenia nastrojów antysemitycznych był fakt zamknięcia w obozie koncentracyjnym w Jabłonnę przez generała Sosnowskiego żołnierzy polskich Żydów podczas walk o Warszawę. Już wówczas znaczony został podział obywateli państwa według klucza rasowego. Stąd już niedaleko było do słynnego oświadczenia Składkowskiego w sejmie: „Bojkot ekonomiczny? — owszem...“ W okresie między Jabłonną a „owszem“ na wyższych uczelniach i wśród sklepikarskiego drobnomieszczaństwa rodził się tymczasem prawdziwy faszyzm, którego bojowym hasłem był antysemityzm. Młodzieńcy w deklach korporanckich, witający się faszystowskim podniesieniem ręki, z równą pasją tłukli kijami kolegów — Żydów i krajali żyłkami suknie koleżankom — Żydówkom, jak napadali na pochody robotnicze. Wyższe uczelnie głużyły i chałwały, rozpowszechniały się zdziczenie. Pokolenie oenerowców marzyło o tym, żeby być hitlerowcami, tyle że z białoczerwoną opaską.

Czasę wojny nie nauczyły polskich faszystów niczego, a raczej — niczego ich nie odczyły. Zdawało by się, że przerażająca w swej grozie wyobraźnię wielomilionowa zbrodnia niemiecka powinna pohamować każdego, w kim nie wygasły resztki ludzkich uczuć. Przeciwnie: zwycięstwo odniosła szkoła morderstwa, szkoła ślepej rasistowskiej nienawiści. Wzory są tak przejęte, że wyglądają wprost na kontynuację niedokończonych przez Hitlera dzieł. Faktów ilustrujących to zjawisko mamy aż za wiele: krwawe napady na wsie, zbrodnie po miastach i miasteczkach, na szosach... Sprawcy? — młodzież, przeważnie poniżej 20 lat. Bratnie dusze porucznika Chenavarda.

Porucznik Chenavard jest zresztą mądrzejszy, ale i cyniczniejszy od swoich polskich kolegów. Mówi on: „Tak, krzywdzimy, że wszyscy Żydzi — to zdracy i że ta garstka ludzi, która została na ziemi, chce zostać panami świata. Chyba nie sądzisz, że wierzymy w te brednie?“ A w innym miejscu: „Nazywamy wreszcie te pojęcia (humanitarne) żydowskimi, ponieważ przez użycie tego niewymyślnego określenia czynimy je nienawistnymi“.

Antysemita Chenavard, dążący do ustroju „autorytarnego“, do „moralności, irracjonalnej“, odrzucający indywidualizm i prawa człowieka i obywatela, okazał się zwykłym zdrajcą swego narodu i państwa. To samo robią jego bratnie dusze w Polsce, ci sami co zabijają świetlane postacie Openheimów obok obywateli pełniących służbę dla państwa i społeczeństwa.

Zatrważający stan umysłów i poziom moralny pewnego odłamu młodzieży polskiej pragnę zilustrować dwoma faktami z okresu ostatnich kilku miesięcy. Młody student, widząc maszerujący oddział wojska, zwierza się jednej z moich znajomych: „Ach, chciałbym teraz mieć „szóstkę“ i móc z pięta powystrelać choć kilku z tych drani...“ Inny przykład: w marcu byłem po raz pierwszy na Starym Mieście w Warszawie. Grupa kilkorga dziewcząt i chłopców w wieku lat około piętnastu hałasowała i weselo bawiła się na małej przestrzeni Rynku, nie zasypanej gruzami. Podchodzi i zagaduje ich jakoś na temat odbudowy Starego Miasta. „I-i, kto by tam chciał ruszać takie świństwo?“ — odpowiada mi dziewczynka o inteligentnym wyrazie twarzy. Tłumaczę, że przecież zwalono tu tyle drogich sercu pamiątek, skarbów kultury, że tu oto stała kamienica Baryczków, a tam — Książąt Mazowieckich, a tam — dom pod Murzynkiem, a tam, po drugiej stronie — dom, w którym mieściło się wydawnictwo Mortkowicza. Ostatnie nazwisko zelektryzowało dziewczynkę. Uśmiechnęła się pogardliwie i powiedziała: „Mortkowicz? A, ten pan Żydek...“ Odszedłem bez słowa i choć nie jestem wielobielcem poezji Krasieńskiego, przypomniał mi się jego czterowiersz:

Niczem Sybir, niczem knuty,
Niczem świąt kozackich kul,

Lecz narodu duch zatruty
To największy bólów ból.

Wracając do omawianej broszury, resumuję: Benda wnikliwie dostrzegł, iż słowo: antysemityzm pokrywa się ze słowami: faszyzm, reakcja, a te z kolei oznaczają zdradę narodu.

Władysław Broniewski
Łódź, 22 maja 1946 r.

*) Broszura Bendy ukaże się rychło nakładem „Książki“.

Czytajcie i prenumerujcie

„KUŹNICE“

Kronika zagraniczna

Z CZASOPISM FRANCUSKICH

W pierwszym okresie powojennym, wszystko co nawracało do niedawnej przeszłości było bliskie, ważne i pasjonujące. Nie wybierano rzeczy ważniejszych i mniej ważnych, nie klasyfikowano, bo cała przeszłość w swej tragicznej grozie przytaczała okrutną bezpośredniość. Od tych spraw, przeżyć i zagadnień jeszcze nie można i nie wolno odejść, ale można i trzeba poddać je analizie rozumowej, ocenić i wybrać rzeczy istotnie najważniejsze, z których rodzi się i które wyjaśniają narastającą teraźniejszość. Ta praca myśli, która porządkuje i określa stosunek człowieka do okresu wojny, doprowadza do nowych i ciekawych spostrzeżeń i uogólnień. Obecnie wszędzie, a jak zwykle w większej mierze we Francji niż u nas zaczyna się wyluskiwać sprawy interesujące i ważne z jakichś ogólniejszych punktów widzenia.

Z dziedziny krytyki literackiej taką próbę syntezy przedstawia niewielki, ale bardzo wnikliwy artykuł Jacques Mesnil'a „Réflexions à propos de Drôle de Jeu” (Fraternité). Autor rozróżnia dwa rodzaje literatury, odnoszącej się do okresu okupacji i ruchu oporu. Pierwsza, rodząca się w czasie wojny, jest symboliczna i oparta na fikcji, „próbując oderwać się od rzeczywistości i stworzyć świat idealny, rodzaj wzoru, który pomaga znieść życie codzienne i zetknąć się z jakąś wzniosłością”. Przykładem tego typu są utwory Vercors'a „Silence de la Mer” i „La Marche à l'Étoile” i Amerykanina Steinbecka „Nuits noires”.

Drugim rodzajem jest literatura wyrastająca ze wspomnień z okresu wojny, która powstaje obecnie i chce odzwierciedlić prawdę i atmosferę tamtych czasów. Tutaj autor zalicza zarówno nowe i powieści jak np. „Grandeur et servitude des Français” Aragona, „Drôle de Jeu” Vallant'a itp. jak i utwory ściśle dokumentarne w rodzaju „Liberty Ship” Suzanne Normand.

Czym są dla nas obecnie utwory pierwszego rodzaju — zastanawia się Jacques Mesnil — czy są dokumentem z czasu okupacji — czy „syntezą i obrazem z życia Francuzów w tych ponurych latach”? Nie są ani jednym ani drugim. Są natomiast jakimś symbolem i przykładem. „Vercors odmalowuje ludzi takich, jakimi powinni być, a nawet raczej odmalowuje zbiorowe reakcje, takie, jakie powinny być. Ciesza — jest upragnionym marzeniem i tęsknotą okresu, w którym tysiące wymuszonych słów było kompromisem lub podłością, zrodzoną z pragnienia życia za wszelką cenę.”

Podobnie książka Steinbecka „Nuits noires”, która była jednym z największych sukcesów wydawnictwa „Editions de minuit”. Cała opowieść o małym miasteczku, które pod terrorem okupanta dojrzało do zrozumienia wolności, bez której nie podobna żyć — jest niewątpliwą idealizacją. Tak samo jak wzorem i symbolem staje się Jowialny i poczciwy burmistrz, który w końcu książki „wznosi się na wyżyny bohatera starożytności”.

„Wydać mi się — mówi autor artykułu — iż jak dotychczas nie ma nic lub prawie nic w obecnej literaturze francuskiej pomiędzy tymi zbyt pięknymi symbolami, a rzeczywistością zbyt realną”.

Nie znaczy to, aby Jacques Mesnil nie doceniał wartości utworów dokumentalnych i reportażowych. Jednakże — jak wynika z jego oceny „Drôle de Jeu” oczekuje on książki, które, przedstawiając prawdziwe fakty i ludzi, zdolają dać także syntezę tamtej rzeczywistości. „Drôle de Jeu” i wiele innych utworów są niepełnym wejściem w coś wielkiego, co się temu wymyka, są „połowicznymi prawdami, które nie tworzą prawdy”. Ponieważ jednak zadanie takiego utworu, który by odpowiadał — w doskonały sposób prawdzie tamtych czasów — jest zadaniem i poszukiwaniem wielkiego talentu — więc musimy, mówi autor, poprzestać na mniejszym i zadowolić się wiernymi dokumentarnymi świadectwami z okresu wojny.

Podobnie wnikliwym artykułem, który oświetla sprawy mało dotychczas znane jest „La censure et la Confédération” Frederica Salzmanna. (Fraternité). Artykuł ten, omawiający sprawę wolności prasy szwajcarskiej w czasie wojny, jest obecnie w dobie żywych zainteresowań problemem wolności słowa, niezwykle znamienity.

Na początku wojny dziennikarze i redaktorzy szwajcarscy dostali od rządu „ultimatum” tego rodzaju „piszcie to, co nam się podoba, gdyż w przeciwnym razie powstanie ministerstwo prasy, które będzie podawało treść gazety bez prawa jakichkolwiek zmian”. Oczywiście było to tylko pogróżki. Szwajcaria nie otrzymała ministerstwa prasy, wzorowanego na niemieckim „Ministerstwie propagandy”, jednakże pogróżki te odegrały rolę sobie przeznaczoną. Prasa szwajcarska, jak wiadomo, nigdy nie była neutralna. Jej sympatie były zawsze po stronie zasad wolności i demokracji. Mimo to, a może właśnie dlatego, trzeba było zachowywać ostrożność i unikać „komplikacji” w polityce międzynarodowej i w tym celu wynaleziono określenie „koniecznej dyskrekcji — wobec państw osi”. Wówczas powstał konflikt pomiędzy wolnością słowa a racją stanu, który rozwiązano w sposób „równie zabawny jak diaboliczny”. W zasadzie istniała wolność prasy i „każdy mógł w pewnych granicach” zakreślonych przez prawo, pisać, co chciał. Cenzury nie było, ale jeżeli artykuł nie podobał się z jakichś względów rządowi, autor lub redaktor szli do więzienia, albo byli karani — o ile mieli szczęście — w sposób mniej ostry.

Ten dość dziwny stan rzeczy znalazł wreszcie prawne sformułowanie w tzw. „Kompendium praw prasy szwajcarskiej”, składającym się z 24 wskazań. Termin paragraf nie został użyty ze względu na przyrodzoną podejrzliwość dziennikarzy. Sformułowania tych wskazań nastrojały możliwość bardzo różnych interpretacji. Autor artykułu dla przykładu podaje parę znamienitych faktów.

Punkt 6 brzmi — „Powinno się unikać każdej dyskusji zagrażającej w jakis sposób naszej neutralności”. Dziennik „Freies Volk” napisał, że ze względu na neutralność Szwajcarii byłoby słusznym zaprzestać dostarczania broni zagranicy. W rezultacie tej patriotycznej troski dziennik został zawieszony na przeciąg trzech tygodni. Inna gazeta „Nationalzeitung” w okresie bardzo ciężkim dla Anglii zatytułowała artykuł „Szansa Anglii na morzu Śródziemnym”. Tytuł ten wywołał interwencję czynników miarodajnych, które stwierdziły, że jest on nadużyciem neutralności, gdyż słowo „szansa” świadczy o sympatiach proangielskich.

Punkt, który najbardziej zaszkodził reputacji Szwajcarii, zabraniał podawania jakiegokolwiek wiadomości o obozach internowanych, co doprowadziło do wielu błędów i niesprawiedliwości.

Obok tego „Kompendium” wydawano też rozmaite dekrety, które, według Salzmanna, „były jeszcze o wiele głupsze”. Naprzykład — „15 czerwca 1940 r. w okresie, kiedy trzeba było pokazać demokrację całego świata, iż zwycięstwa niemieckie nie były czymś nieodwołalnym, w dniu, kiedy dowiedziano się, że Paryż został ogłoszony miastem otwartym, wówczas dyrektor prasy oświadczył: „Nie wydawać sentymentalnych ocen”. „Nie pomniejszać zwycięstw niemieckich”.

Oświadczenia wolności prasy szwajcarskiej — konkluduje autor artykułu — była więc najpierw ograniczona „de facto”, a potem i „de jure”.

Te próby retrospektywnej oceny spotykamy w różnych dziedzinach zagadnień. Odnajdujemy je one zarówno do konkretnych wydarzeń i faktów, jak i do teorii. Artykuł „Des savans cannibales” (Fraternité) M. Plissetskiego, dyrektora muzeum antropologicznego w Moskwie przedstawia w kompromitującym świetle teorię rasizmu niemieckiego. Autor wykazuje w dobitny sposób, że uczonego dyskwalifikuje nie tylko błędna doktryna, bo znacznie mocniej godzi w jego autorytet i jako uczonego i jako człowieka naginanie jej do bieżących potrzeb polityki faszystowskiej.

Pomiędzy przedstawicielami ideologii nazistowskiej Fischer i Lenz, twórcy nazistowskiej antropologii zajmują czołowe miejsca. Są oni wspólnie z Baurem autorami dzieła „Grundriss der menschlichen Erblichkeitslehre und Rassenhygiene”, które zawiera kwintesencję rasizmu. Ogólnie wiadomo, że pojęcie rasy jest zdeterminowane naukowo przez zewnętrzne cechy (morfologiczne). Falszując te metody, teoretycy nazistowscy wysunęli na pierwsze miejsce rasę nordycką twierdząc, że jasny kolor oczu i włosów jest oznaką „szlachetności i wysokich uzdolnień”. Jednakże ponieważ między samymi hitlerowcami byli oczywiście przedstawiciele różnych ras europejskich, teoria musiała ulec poprawkom. Lenz był jednym z pierwszych,

który stwierdził, że „cechami rasy nordyckiej nie są właściwości cielesne, lecz właściwości duchowe twórców kultury indogermańskiej”. Stąd już była prosta droga do stwierdzenia, że „zachowanie się żołnierza świadczy więcej o jego przynależności rasowej niż niebieskie oczy i jasne włosy”.

Według Lenza diagnostyka rasowa powinna się opierać „na intuicji i poczuciu artystycznym”. W ten sposób zrodziła się mistyczna teoria rasy, pozwalająca zaklasyfikować do rasy nordyckiej każdego członka

partii hitlerowskiej. Zakończeniem działalności „naukowej” Fischera i Lenza było — jak wykazał na procesie w Norymberdze oskarżyciel sowiecki — gazowanie obywateli innych narodowości w celach „ściśle naukowych”.

„Nie ulega najmniejszej wątpliwości — pisze Plissetski — że odpowiedzialność za potworne zbrodnie popełniane przeciw ludzkości spada w równej mierze na tych uczonych kaniibalów XX-ego wieku”.

Ewa Korzeniewska

PRZEGLĄD PRASY

Po ostatnich, interesujących i żywych numerach „Twórczości” numer kwietniowy (4) jest pozycją nieco słabszą. Zapewne dlatego, że tematykę tego numeru skoncentrowano prawie wyłącznie wokół spraw okupacyjnych i wojennych, a materiały składające się na treść numeru, z wyjątkiem dokumentarnych wspomnień Arnolda Szymańskiego, nie odbiegały od tych wszystkich publikacji, którymi wypełnione są szpalty pism literackich w okresie ostatniego roku.

Wśród licznych literackich opracowań tematu obozowego wyróżniała się niewątpliwie dwa zamieszczone w nr. 4 „Twórczości” fragmenty prozy Tadeusza Borowskiego „Dzień na Harmenzach” i Krystyna Olszewskiego „Transport”. Obie prozy są interesujące nie tylko z punktu widzenia literackiego, ale przede wszystkim zajmują nas jako próby obiektywnego pokazania życia i stosunków obozowych bez zaniżania moralnej oceny tych stosunków. Wydaje nam się, że obie prozy, z których pierwsza jest bardziej dojrzała literacko, druga natomiast zwoziła nas swoim rękopisem prymitywizmem, wyrastają z określonego korzenia literackiego. To obiektywne splątanie okropności i odcięcia wszystkiego, co mogłoby świadczyć o moralnej ocenie piszącego, przypomina niekiedy metody Celine'a. Dlatego też nie sadzimy, by można było, tak jak to czyni redakcja pisma, identyfikować bohaterów opowieści z autorami, nie sadzimy, by to była proza pamiętnikarska. Traktujemy „Dzień na Harmenzach” i „Transport” jak literaturę — jeszcze jedną próbę powiedzenia całej prawdy o obozach koncentracyjnych. I przyznać należy, że z całej dotychczasowej literatury obozowej prozy te, jakkolwiek różne w swojej konstrukcji, najbardziej są może przekonujące. Okrucieństwo systemu faszystowskiego podano tu w ekstrakcie. I chociaż obaj autorzy nie wypowiadają moralnego sądu, chociaż ich bohaterowie pomagają w tych okrucieństwach, przecież czytelnik swój sąd moralny wydać musi.

W dziale poetyckim znajdujemy piękny wiersz Tadeusza Hołuj „Taka piosenka”. Zdziwieni jesteśmy natomiast pojawieniem się w tak poważnym piśmie, jakim jest „Twórczość”, wierszy p. Romana Bratnego. Pięć stron, jakie zajmują te utwory, to wolałbyśmy wszystkich poetyckich stylów dwudziestolecia.

W dziale sprawozdawczym „Twórczość” zamieszcza w bieżącym numerze listy z Łodzi, Poznania, Katowic, Wybrzeża i Dolnego Śląska. W listach tych korespondenci starają się przedstawić całokształt życia kulturalnego w danym ośrodku.

Zagadnieniem plastycznym nie poświęcono w tym numerze wiele miejsca, ograniczając się do zamieszczenia sprawozdania St. Ge-

bethnera z wystawy tkanin i rękodzieła artystycznego w Muzeum Narodowym w Warszawie. O koncertach krakowskich pisze Jerzy Broszkiewicz. Obszerny i szczegółowy artykuł Broszkiewicza świadczy o intensywnym życiu muzycznym Krakowa, które poza tym miastem gdzieś prawie więcej w Polsce się nie koncentruje.

Jakkolwiek fachowcom należałoby pozostawić omówienie tak specjalnego pisma, jakim jest „Ruch Muzyczny”, ukazujący się jako dwutygodnik w Krakowie, uważamy za nasz obowiązek podanie choćby tylko treści jednego z ostatnich (8 — 9) numerów tego pisma. W numerze tym, prócz dobrze postawionego działu kronikarskiego i sprawozdawczego, znajdujemy między innymi: artykuł prof. Jachimeckiego: „Kto był pierwszym nauczycielem Karola Szymanowskiego w kompozycji”, J. M. Rytarda: Fragmenty wspomnień o Karolu Szymanowskim, dotyczące zainteresowań Szymanowskiego muzycznym motywami góralskimi. Dowcipnie uwagi „recenzenta”, który nie chce być zawodowym” zamieszcza znany kompozytor i recenzent muzyczny, Zygmunt Mycielski. W sumie „Ruch Muzyczny” jest piśmie obrazującym dość szczegółowo sytuację i potrzeby życia muzycznego w Polsce, piśmie, które może i powinno być czytane nie tylko przez specjalistów, ale i przez tych wszystkich, którzy choćby po amatorsku interesują się muzyką.

O „Sprawie wychowania odbiorców sztuki” pisze w nr 10 lubelskiego „Zdroju” J. N. Kłosowski. Słuszne zasadniczo twierdzenia autora artykułu, konstatacja minimalny „zasób wiadomości przeciętnego absolwenta szkoły średniej... z zakresu historii kultury”, pociągają niestety za sobą nieliczne postulaty. Autor artykułu domaga się bowiem przede wszystkim wprowadzenia do szkół tzw. „nauki o rzeczach pięknych” i kładzie główny nacisk na rozwój przemysłu artystycznego. „Sa to naszyjni zdanien, próby przypinania kwiatków do brudnego kożucha. Trudno sobie wyobrazić, żeby można było „rozszerzyć” krąg odbiorców sztuki przez wprowadzenie „nauki o rzeczach pięknych”. Sadzimy, że tylko całokształt zdobyty w szkole powszechnej i średniej wiedzy może zjednać szlache odbiorców. Oddzielne, specjalne „kursy estetyczne” nic tu nie pomogą. Wskazówki p. Kłosowskiego, a zwłaszcza przesadne znaczenie przypisywane tzw. przemysłowi artystycznemu, przypominają przesłowieczne ruskimowskie deklamacje o pieknie. Apoteoza artystycznego rzemiosła data już w konsekwencjach setki straszliwych wzorów na kilimy, zakoniarńskie wyroby z drzewa i koronkarstwo — produkty te zapelniały przez kilkadziesiąt lat wszystkie małomieszczańskie mieszkania w naszym kraju. Chłopom, robotnikom i inteligencji pracującej należy ułatwić kontakt z prawdziwą sztuką, prawdziwą muzyką i prawdziwą literaturą w skali najwyższych osiągnięć. Kontakt taki może zostać nawiązany dopiero na solidnym gruncie ogólnego, powszechnego nauczania.

Dotychczasowe życie literackie Warszawy ujawniło się tylko w dwu pismach katolickich („Dziś i Jutro”, „Tygodnik Warszawski”) i w „Lewym Torze”. Zarówno tygodniki katolickie, jak i „Lewy Tor” były właściwie pismami o zasięgu krajowym i sprawom ściśle warszawskim poświęcały stosunkowo niewiele miejsca. Kroniki życia literackiego Warszawy, sprawozdania z odczytów, wieczorów i wystaw czy koncertów zajmowały zaledwie drobna część numeru. Stoliczne dodatki literackie nosiły na sobie pletnio drobnych politycznych rozrywek (dodatek literacki do „Gazety Ludowej”), stały raczej na niskim poziomie i nie skupiały pisarzy istotnie dla Warszawy reprezentatywnych. Próby stworzenia dodatków w „Głosie Ludu” czy w „Robotniku” zostały ostatnio zaniechane.

Z tym większym więc zainteresowaniem powitamy pierwszy numer „Warszawy”. Na treść numeru składała się między innymi obszerny artykuł Marii Dobrowskiej „Conradowskie polecie wierności”, proza poetycka Aleksandra Wata, artykuł Kazimierza Czachowskiego „Na temat Warszawy”, artykuł Jana Nepomucena Millera „Cios w serce”, wiersze St. R. Dobrowskiego, Mariana Piechala, Czesława Milosza, Leonarda Podhorskiego - Okołów, Jana Szczawieja, dział not, recenzje z książek.

„Warszawa” mimo programowej swej nazwy i zrozumiałych, słusznych zainteresowań dla kulturalnego i literackiego życia stolicy, stanie się niewątpliwie piśmie ogólnokrajowym. Dobór nazwisk w pierwszym numerze świadczy o tym, że redakcja nowopowstałego pisma nie zamierza ograniczyć się bynajmniej do dzisiejszego środowiska warszawskiego, lecz nawiązuje kontakty z innymi środowiskami (Łódź).

Pierwszy numer „Warszawy” powitała z radością ci wszyscy, którym nieobojętny jest rozwój kulturalny stolicy. Wnosząc z ideologicznych treści niektórych wypowiedzi czołowych pisarzy „Warszawy”, polemika z tym piśmie będzie bardzo interesująca i na pewno utrzymana na wysokim poziomie.

ph



„Szeptana propaganda”

N O T Y

POLITYKA WYDAWNICZA MINISTERSTWA OŚWIATY

W ciągu pierwszych miesięcy po zakończeniu wojny słyszano się zewsząd głosy, które mówiły o głodzie książki szkolnej. W istocie pierwszy rok szkolny po ożyskaniu niepodległości wypełniła trudna dla nauczyciela a nieznośna dla ucznia walka o podręcznik, o jakikolwiek strzęp drukowany. Był to problem zarówno dydaktyczny jak i ekonomiczny. Za nieliczne bowiem antykwaryczne egzemplarze — żądano bajonów sum.

Dziś te sprawy przycichły. Jest to niewątpliwym znakiem poprawy sytuacji. Że by było jednak, gdyby rzeczywiście sygnalizowanie poprawy ograniczać się miało u nas jedynie do poniekąd narzekania.

Trzeba publicznie podsumować roczny wyśitek państwowej polityki wydawniczej w zakresie książek szkolnych. I stwierdzić, że Ministerstwo Oświaty a w szczególności Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych zrobiły bardzo wiele w tym trudnym roku.

Przed wszystkim w kraju, w którym okupant wyniszczył specjalistów potrafiących w ciągu paru miesięcy zdobyć rękopisy podręczników. W znakomitej większości wypadków nowe. Nie ograniczono się tylko do najpotrzebniejszych, z których zadawałoby się uczniom odtąd — dotąd. Pamiętając o brakach bibliotecznych podjęto wydawanie obok podręczników broszur popularno — naukowych dla starszych uczniów, a nawet dla gorzej wykształconych nauczycieli.

Ponieważ opracowano nowe programy i częściowo wprowadzono nowe przedmioty (jak np. prehistoria) dotąd zupełnie zaniedbana w programie nauczania historii dla szkół powszechnych, pomyślano o jednoczesnym wydawaniu dwu podręczników na różnych poziomach: dla ucznia i dla nauczyciela (doskonała książka dr Z. Podkowińskiej).

Omówienie szczegółowe treści tych książek musi być oddzielone do osobnej fachowej recenzji. Tu wypaźnie podkreślić nowoczesność tych prac. Szczególnie uderza to w podręcznikach i broszurach biologicznych, które śmiało realizują zasadę upowszechnienia podstaw naukowego poglądu na świat w szkole, jako narzędzia wychowania krytycznego, nowoczesnego, sprzyjającego życiu i postępowi umysłu.

W tej nocy chciałbym jednak przede wszystkim przytoczyć cyfry, które zestawili kierownik PZWS dr Pazyra. Organizację zakładów wydawniczych rozpoczęto wiosną 1945 r. Placówki PZWS znajdują teraz się w miastach wojewódzkich zarówno Polskiej centralnej, jak i Ziemi Zachodnich (Szczecin, Wrocław, Jelenia Góra). W ciągu zaś niespełna roku (do 30.IV.1946) wydano 65 książek szkolnych w łącznym nakładzie 9.000.000 egzemplarzy. Nadto powtórzone nakład 11 książek.

W dziale pomocy szkolnych odbito przeszło pół miliona mapek oraz przeszło 6 milionów egzemplarzy innych druków szkolnych. Produkcja zakładów objęła nadto zeszyty, dotąd ponad 3 miliony sztuk (po 16 kart) w cenie 4 zł.

I właśnie te ceny są bodaj jednym z najistotniejszych osiągnięć polityki wydawniczej państwa. Pomyślano się tak, by jak najmniej odbiegały od realnych sum, którymi może pracownik dysponować na książki w budżecie swej pensji. Toteż zakłady mają w swym dorobku miliony egzemplarzy książek szkolnych po 3 zł. (Zadania elementarne). Ceny podręczników wahają się od tej najniższej do 75 zł. Jest to górna granica.

FAŁSZYWA LEGENDA

Wiadomo tym co przeczyta i uczciwie oceniająca okres okupacji w Warszawie, że w czasie tym różni ludzie zachowywali się różnie, że obok walczącej Warszawy była handlowa i bawiąca się „Warszawka” i że granica pomiędzy tymi dwoma światami, jakkolwiekby jej nie zaczęto, — była, istniała, odradzała wielkość od małości i podłości. Istnieją też pewne zjawiska graniczne, których kwalifikacja jest trudna, zjawiska, które istotnie wymagają specjalnie ostrożnej oceny: do nich należy warszawskie „cwaniactwo”, warszawski „fason” i spryt handlowy, łączące się często z nieporównywanym wdziękiem i humorem a także zwykłym błędnym i lekkomyślnym, nie wspólnego nie mającym z postawą patriotyczną w chwilach, kiedy miliony ludzi ginęły w obozach i na miejscach straceń. Jest rzeczą zrozumiałą, że zaradnie i dziś cwaniactwo warszawskich kombinatorów usiłuje zdyskontować wdzięk i czar pokrotnych sobie przejawów brawury i humoru ludzi walki oraz wytłumaczyć, że dowcip w walce i dowcip czy też „t. zw. „fason” w ogóle — to to samo. Jest to fałszywa legenda. Dlatego wysoce niesmaczne wrażenie robi opracowane przez p. Mariana Ruth-Buczkowskiego wydawnictwo „Warszawski dowcip w walce”, gdzie obok przykładów humoru i pomysłowości, istotnie gojących utrwalenia i zapamiętania, wynosi się i gloryfikuje rzeczy mocno wątpliwe. Posłuchajmy: „Pięknie zrobiona główka, zgrabna sukieneczka i gazówki — to był wyraz przekory i nonszalanacji. Usta, które w domu krzywiły się w placy nad fotografią rozstrzelanego brata, męża, czy ojca, na ulicy krasniały karmieniem, żeby te bydlaki nie myślały, że już jesteśmy wykończeni”.

Bujda i żenujące kłamstwo. Nie ma potrzeby narzucać nikomu stroju załobnej wdowy, można też ustosunkować się liberalnie do młodości i t. zw. „instynktu życia”, jak wykazała warszawska ulica, ale ukazany nam przez

Buczkowskiego proces psychologiczny nie zachodził, a ukazany nam fakt daje fałszywy obraz społeczny i fałszywą ocenę faktów.

Ta sama beztroška (której sens polityczny jest zupełnie wyraźny) cechuje p. Buczkowskiego, kiedy usiłuje wyrazić swój podziw dla handlowego sprytu właścicieli wózków rowerowych, dla pedzających bimber i dla „warszawskiej młodzieży męskiej, która „paradowała w butach „oficerkach” i w bryczesach! Każdy młodziak wyglądał na podchorążaka lub jeszcze więcej!.. Szwabów krew zalewała. Chwytała takich szczególnie zawzięcie, ale nogi w bryczesach i butach maszerowały wciąż szerokim, rozstawnym krokiem, prowokacyjnie. Bo taki był fason!”

Szwabów oczywiście krew nie zalewała, gdyż nie będąc wcale tak naiwnymi jak ich przedstawia p. Buczkowski, wykorzystywali każdy przejaw naszej lekkomyślności dla własnych celów. Bywało, że fasonowi młodzieńcy konczyli w Oświęcimiu, ale tylko przez własną głupotę, nie nie zdziaławszy. Nie czyni to z nich bohaterów. Za to na Lubelszczyźnie, w Górach Świętokrzyskich i w tej samej Warszawie partyzanci bez „fasonu” i bez bryczesów dokonywali ndanych aktów sabotażu i dywersji. Młodzież Warszawy walczącej nie miała bryczesów i gazówek, kosztowały one bowiem w czasie okupacji ciężkie pieniądze. Nosiła je natomiast pożądana młodzież okupacyjnej „Warszawki”, i rzecz dziwna, że tej właśnie młodzieży p. Buczkowski przypisuje bohaterstwo. Fałszywej legendzie drapującej w bohaterką pozę zwykłe cwaniactwo lub beznamiętność trzeba co prędzej ukreślić łeb.

„CHRZEŚCIJAŃSCY DEMOKRACI”

Na otwarciu Kortezów w Madrycie gen. Franco oświadczył, że w Hiszpanii nie ma dyktatury, nie ma faszyzmu ani komunizmu, zaś on sam jest „chrześcijańskim demokratą” i „syndykalistą”.

Należy uzupełnić to oświadczenie stwierdzeniem faktu, że jako „chrześcijański demokrat” gen. Franco w latach 1936—1939 rozpętał wojnę domową w Hiszpanii. „Dunnemu Hiszpanowi” (jak nazywa Caudilla „Gazeta Ludowa”) dopomogli z tym zresztą zbrojnym dziełem dwaj inni „chrześcijańscy demokraci” — Hitler i Mussolini.

Jednocześnie z deklaracją gen. Franco, nadeszła wiadomość, że wiceminister spraw zagranicznych USA — Acheson zakomunikował prasie o mającym wkrótce nastąpić sygnalizowaniu rokowań w sprawie pożyczki Stanów Zjednoczonych dla... gen. Franco.

A w parę dni później dowiedzieliśmy się z ust tegoż wiceministra Achesona, iż polecił on wstrzymać wykonanie udzielonej Polsce przez Stany Zjednoczone pożyczki, ponieważ Rząd R.P. „nie udostępnia treści umów gospodarczych, zawieranych z innymi państwami”.

Osobliwymi drogami zmierzają do uzdrowienia świata niektórzy meowicie stanu bliższego i dalszego Zachodu...

JADRO

W londyńskim „Timesie” ukazał się list otwarty p. Saurat, profesora uniwersytetu w Londynie, który smuje projekty na temat zorganizowania życia międzynarodowego. Pan profesor pisze między innymi:

„Anglia i Francja stanowią jądło cywilizacji, a wiele krajów pozornie bardziej bogatych, nie posiada w ogóle takiego jądra. Dlatego też państwa europejskie powinny zjednoczyć się dokoła państw kierowniczych. Nie ma to być blok, ale swobodny związek narodów cywilizowanych. Jedynie zachodnioeuropejska mentalność pozwoli narodom, począwszy od Norwegii, a kończąc na Hiszpanii, od Skoczki po Grecję, rozwijać swe cechy oryginalne i brać udział w dążeniu do wspólnych celów... Rosja w chwili obecnej jest państwem nowym. W państwie tym wzbudzi się dusza tylko wtedy, jeśli sąsiadujące z nią państwa będą posiadały dusze. Jedynie konsolidując Europę zachodnią stworzymy warunki, w których Rosja może się stać siłą duchową”.

Oto „jądro” programu „duchowego” narodów o „zachodniej mentalności”, która jak wiadomo dominuje szczególnie w Hiszpanii i Grecji. Jak myślicie co wyklada rozważny i uczony Profesor oraz przewidujący i treżowy Polityk? Historie literatury! Prawda, że odgadliście od razu i bez wahań.

MEDICE, CURA TE IPSUM

W artykule „Traduttore — traditore” w nr 21 „Odrodzenia” Bolesław Dudziński wymieniając przykłady mylnego rozumienia tekstu oryginału przez tłumacza, przytacza między innymi przykład następujący: „W tłumaczeniu fragmentu powieści Ili Erenburga znalazłem scenę, w której pewna młoda para na jakimś paryskim placu gryzie czy chrupie „fistaszki”. Z tymi groteskowymi „fistaszkami” spotykałem się już nieraz w przekładach przedwojennych. Zagadka nie jest trudna do rozwiązania. „Fistaszki” po rosyjsku — to po polsku — pistacje, a co to są pistacje, wie każdy, kto choć raz w życiu w polskiej cukierni jadł lody pistaciowe. Ale tłumacze nie wiedzą. Szkoda”.

Wielka szkoda, że p. Dudziński nie zna dobrze rosyjskiego i nie zna oryginału Erenburga. W języku rosyjskim „fistaszki” (w

liczbie mnogiej) znaczą: orzechy z kłótki czyli kłótkociny włoskiej. „Fistaszki” prócz tego mają inne znaczenie: lentyszek, mastykowe drzewo, pistacja. (Wg słownika rosyjsko — polskiego Potockiego). Tymczasem w inkryminowanym zdaniu w tekście Erenburga wcale nie występuje zwrot „fistaszki”. Erenburg wspomina tylko o tym, że „pewna młoda para”, jak to pisze p. Dudziński, gryzie orzeszki (orieszki). Tłumacz w polskim tekście użył nieliterackiego, ale popularnego słowa: fistaszki. Gdyby p. Dudziński pojechał do Paryża, to by się przekonał, że nikt w Paryżu nie gryzie pistacji, natomiast urzałby ze zdumieniem młode pary, gryzące zawzięcie owe nieszczerne „fistaszki” (po francusku: cacahuètes albo cacahuates), tak jak je widział znakomity autor „Upadku Paryża” Ili Erenburg.

W KRAINIE BELKOTU

Pisząc o rozwoju przemysłu („Rozmyślenia wielkopolskie”, Tygodnik Powszechny) mówi p. Jastrząb „struktura moralna”, „strasznych mieszczan” znalazła swe odbicie w uśłowianiu

„pro” tytułowania wszystkich sił natury w służbie przyjemności ludzkiej. Coraz to większe przestrzenie zaczęły dogorywać pod gryzącą warstwą żużlu i popiołu”, dalej p. J. nawołuje że „nadszedł czas żeby wyzwolić człowieka spod władzy zmysłów, narzędzi i maszyn”. Wier wróćmy się, ale jak daleko? Czy do epoki kamienia łupanego? Czy jeszcze dalej? Nie, bo oto p. J. uholewa, że „został zadany gwałt ziemi żywej, zielonej i świeżej”. Czyli ziemię jednak należy uprawiać, żeby miała powyższe 3 cechy, chociażby nawet z pomocą narzędzi, spod władzy których chce wyzwolić p. J. ludzkość. Chcąc uprawiać ziemię trzeba było najpierw wytrzebić las rosnący w danym miejscu, też z pomocą owych „mienawistnych narzędzi”. A jeżeli chodzi o „przestrzenie dogorywające pod gryzącą warstwą żużlu i popiołu, to chyba warto jeżeli przestrzeń tę zajmują fabryka np. nawozów sztucznych czy maszyn rolniczych, a chociażby zwykłą papiernią, w której wyrabiają papier, żeby go dostarczać do Redakcji „Tygodnika Powszechnego”. Czy nie tak, panie J.?

KORESPONDENCJA

Do Redakcji „Kuznicy”

W numerze 62 „Tygodnika Powszechnego” ukazała się recenzja jakiegoś Kisielskiego (a może Kisielskiego, zgubiłem ten numer więc nie mogę sprawdzić o mojej powieści „Jeziro Bodeńskie”. Autor recenzji usiłuje się gestionować czytelników, jakoby znał mnie do brze, pisząc o mnie „Stas” — wywołując przez różne szczegóły mojego prywatnego życia. Spieszę z wyjaśnieniem w tej sprawie i ostrzeżeniem szerokiego rzeszy czytelników, żeby nie poddawali się tej złej mistryfikacji. Znamem wprawdzie przed laty faceta o podobnej nazwie, ale znamem bardzo przelotnie, ponieważ rodzice nie pozwolili mi się z nim zadepisywać brzydkie wyrazy na drzwiach naszego domu. Nie mam zresztą wcale pewności, czy to ten sam, choć wiele by na to wskazywało. Należy się podeprzeć, że pan Kisielski jest człowiekiem pomianym i lekceważonym przez rodzinę i naskutek tego pisuje recenzje, w których daje do zrozumienia, że zna osobiście literatów i jest z nimi poufally, w nadziei iż to poprawi jego żalozną pozycję domową. Tym razem zresztą mu się nie udało: powszechnie wiadomo, że wszyscy mówią mi „Stacho” a nie „Stas”, wyjątkiem Sandaure, który mówi do mnie „Stascho”, i wydawało od „Czytelnika”, który nie mówi do mnie wcale od czasu, gdy się na mnie pogniwiali za to, że nie chciałem wydać tego nieszczerzego „Jeziro”. Tak, tak; panie Kisielski, jak chce się już mistryfikować, to trzeba się najpierw dobrze poinformować, bo inaczej i wstyd przed społeczeństwem i rodziną dalej będzie kolki na głowie ciosać.

Pytam również, dlaczego, zabierając się już do rzeczy, pan Kisielski niektóre rzeczy zafaja? Wspomina, że jestem leni, młodzieniec, pozer i kobotyn, a ani słowa o tym że am arogant i pies na kobiety. A o tym, że zupełnie szczawiozą przekładam nad inne, ani słowa? A? Barzo proszę panie redaktorze, czy nie można by tych rzeczy sprostować. Szczególnie o zupełnie szczawiowej to ważne.

Bardzo jest to wszystko nieładne i niemile, zapytuję więc, czy nie mogłoby w Polsce być jakoś tak, ażeby nie pisywano recenzji literackich tylko dlatego, że się ma złe stosunki domowe.

Proszę przyjąć wyrazy szacunku. Szczęrze Panu, Panie Redaktorze oddany Wesoły „Stacho”

PROTOKÓŁ

Posiedzenie Sądu Koleżeńskiego Związku Zawodowego Literatów Polskich — Oddział w Łodzi z dn. 8 maja 1946 r.

Sąd Koleżeński w składzie: Jan Kott, Seweryn Pollak, Władysław Rymkiewicz rozpoznawał w dniu dzisiejszym sprawę kol. Jana Huszczy przeciwko kol. Jerzemu Wyszomirskiemu, wznowioną z powodu feliptonu kol. Wyszomirskiego pt. „Minimalna satysfakcja” zamieszczonego w nr 115 „Dziennika Łódzkiego” z dnia 27.5.1946 r.

Wyrokiem z dnia 18.IV.1946 r. Sąd Koleżeński zobowiązał kol. Jerzego Wyszomirskiego do udzielenia kol. Janowi Huszczy minimalnej satysfakcji przez wyjaśnienie w „Dzienniku Łódzkim”, że ustęp odnośnie pewnego literata z Wilna nie dotyczy kol. Jana Huszczy.

Sąd Koleżeński stwierdza, że kol. Jerzy Wyszomirski wywiązał się pozornie tylko z nałożonego nań obowiązku, natomiast w cytowanym artykule usiłował obniżyć powagę Sądu Koleżeńskiego.

Z uwagi na to, że instytucja Sądów Koleżeńskich ma duże znaczenie społeczne i podważanie jej autorytetu jest obiektywnie szkodliwe, Sąd Koleżeński postanawia:

Zawiesić kol. Jerzego Wyszomirskiego w prawach członka Związku Zawodowego Literatów Polskich Oddział w Łodzi na okres jednego miesiąca, poczynając od dnia 10 maja 1946 r.

Wyrok powyższy Sąd Koleżeński postanawia opublikować.

(—) Jan Kott

(—) Seweryn Pollak

(—) Władysław Rymkiewicz

KOMUNIKAT

W związku z organizowanym przez Uniwersytet Wrocławski Zjazdem Kultury Polskiej w dniu 9 i 10 czerwca br. termin Zjazdu Naukowego imienia Bolesława Prusa został przełożony na dzień 28 i 29 września br.

PAŃSTWOWE ZJEDNOCZENIE PRZEMYSŁU PIWOWARSKO-SŁODOWNICZEGO

podległe Ministerstwu Arowizacji i Handlu, Rejon Krakowski
w Krakowie, ul. Kopernika 6, tel. 566-98
Rachunek czekowy w B. G. K. Nr 340 oraz P. K. O. Nr IV-1055

Zrzesza browary:

Okocim, Żywiec, Kraków, Grybów, Zarszyn,
Tarnobrzeg oraz słodownię w Tarnowie

Produkuje piwa jasne 7° i 9°. Znany z dobroci
porter 22° i piwo ciemne 15° z Browarów Okocimskiego i Żywieckiego ukaza się wkrótce w sprzedaży.

CENY OGŁOSZEŃ: F ułmna zł 60.000; 1/2 kolumny zł 30.000; 1/4 kolumny zł 15.000; 1/8 kolumny zł 8.000 1/16 kolumny zł 5.000; Probne ogłoszenia 25 zł 1 mm na 1 szpalie

Redaguje Zespół „Kuznicy”. Redaktor Naczelny: Stefan Zółkiewski.
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.

Nr. 009441

Adres redakcji i administracji: Piotrkowska 96, tel. 205-42.

Wydawca: Zespół „Kuznicy”; — Drukarnia — Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik” Nr. 4, ul. Żwirki 2.